Kilka uwag o działalności katechety, jako duszpasterza.

Wielki biskup i święty Karol Boromeusz wypowiedział te pamiętne słowa, iż „wychowywać, znaczy do Boga prowadzić“.

W tych krótkich, ale jędrnych słowach streścił on zadanie rodziców, wychowawców tak duchownych, jak również i świeckich, oraz tych wszystkich, którzy zajmują się żywo losem młodego pokolenia, a zwłaszcza tych uczniów, którzy w szkołach wyższych i średnich gotują się do zajęcia w społeczeństwie górujących stanowisk, którzy według słów poety mają „nieść przed narodem oświaty kaganiec“ (Słowacki).

Sprawa to niezmiernie ważna, bo od należytego pokierowania duszą i sercem młodzieży, zależeć będzie przyszłość Kościoła i Ojczyzny.

Dusza młodzieńcza, to materyał podatny, z którego wychowawca ma wyrzeźbić charakter silny i niezłomny, jak stal i granit, jak skała nadbrzeżna, o którą uderzają spienione fale morskie bez żadnej szkody. Uczeń ma obok wiedzy wynieść ze szkoły wiarę mocną i żywą, wiarę nietylko słów, lecz także i czynów, która winna mu jasno przyświecać w pielgrzymce ziemskiej, w jego życiu tak prywatnem, jak również i publicznem.

Z gimnazyum, względnie szkoły realnej, lub seminaryum nauczycielskiego, mają wynieść uczniowie pogląd na świat oparty na zasadach wiary i gorącej miłości Kościoła i Ojczyzny, by zająwszy wśród społeczeństwa różnorodne

posterunki, snuli przed niem jasną przędzę światła i ciepła ożywczego.

Czy szkoły średnie spełniają w obecnej dobie to zadanie wzniosłe i szczytne, nie chcę tego rozstrzygać i odpowiadać na to pytanie wprost przecząco. Zdaje mi się jednak, że szkoła średnia w obecnym czasie stara się przedewszystkiem o rozszerzenie horyzontu wiedzy ucznia i napełnienie jego umysłu formułkami naukowemi różnego rodzaju, a przecież mąż tej miary, co Jan Śniadecki powiedział, iż „nauka bez bojaźni Bożej, to miecz w ręku szalonego!"

Jest faktem niezaprzeczonym, iż w dzisiejszych czasach wielu z pośród najzacniejszych i wiele obiecujących młodzieńców opuszcza mury gimnazyum z sercem zimnem i obojętnem na najświętsze hasła, jakiemi są Bóg i Ojczyzna, że częstokroć powiększa szeregi wrogów Kościoła i Ojczyzny, lub też popada w indyferentyzm tak pod względem religijnym, jak i narodowym.

Patrząc na te liczne jednostki „bez serc, bez ducha," jak powiedział Mickiewicz, mimowoli nasuwa nam się pytanie, ażali nie byłoby lepiej, gdyby niejeden młodzieniaszek pozostał na zagonie ojczystym, lub w warsztacie swego ojca, a zwłaszcza jeżeli nie posiada wyższych zdolności i zapału do pracy? Zachowałby może zdrowie ciała i duszy, a nie powiększyłby licznego zastępu tak zwanych „straceńców."

Jest to utartą formułką wśród naszego społeczeństwa, iż wszystko złe przypisuje się szkole, ze wszystkich stron słychać narzekania na zły system nauczania, na przeciążenie uczniów zbytecznemi wymaganiami i t. p.

Bardzo często można się również spotkać z zarzutami, iż katecheta winien temu, że młodzież nie jest taką, jaką być powinna, że jest mało religijna i pobożna.

Zapomina się jednak o tem, iż szkoła oddziaływa na umysł i serce młodzieży przez pięć godzin dziennie, a przez resztę dnia dom i społeczeństwo, że katecheta zaledwie przez dwie godziny w tygodniu spotyka się z uczniami jednej klasy na godzinie religii, prócz egzorty

w niedziele i święta, a z tych godzin wiele mu jeszcze przepada w ciągu roku szkolnego.

Nie należy i o tem zapominać, że na dzisiejszą młodzież oddziaływają ujemnie liczne czynniki w szkole i poza szkołą, że tysiące rąk niepowołanych wyciąga się po serca i dusze młodzieńcze i że młodzieży nie można nakryć kloszem, że więc prądy, nurtujące w społeczeństwie, muszą oddziaływać także i na młodzież.

By ją ratować od ruiny i zguby, muszą sobie na seryo podać ręce dom i szkoła, co więcej, młodzieżą musi się zająć całe społeczeństwo, bo samo narzekanie nie pomoże wiele, ani też rzucanie kamieniem potępienia na szkołę i nauczycieli.

Po tym wstępie nieco za długim i niewesołym, przystępuję do właściwego założenia i na podstawie doświadczenia kilkunastoletniego ośmielę się rzucić kilka uwag w sprawie obowiązków katechety, jako duszpasterza. Są one liczne i niezmiernej wagi tak wobec Boga, którego św. Zakon mamy głosić i utwierdzać w sercach powierzonej mu młodzieży, jak również wobec samej młodzieży i narodu, który nam powierza to, co ma najdroższego, nadzieję lepszej przyszłości!

Zadaniem katechety, jak i każdego nauczyciela, jest nietylko uczyć, lecz także wychowywać powierzoną sobie młodzież, by rosła i kształciła się Bogu na chwałę, a na pociechę rodzicom i chlubę Ojczyzny. Jak każdy przedmiot świecki, tak i nauka religii wymaga sumiennego przygotowania się na każdą lekcyę, by prawdy Boże przedstawiać młodzieży w sposób zajmujący, w barwnej formie, a nie w suchych formułkach katechizmowych, bo umysły młodociane trzeba zainteresować przedmiotem, by cieszyły się na godzinę religii.

Prócz sumiennego przygotowania się na każdą godzinę religii, winien się katecheta gorąco modlić o światło Boże do Ducha św., wzywać przyczyny Matki Najśw., pamiętać w „memento“ przy mszy św. codziennie nietylko o sobie, lecz także o swych wychowankach, by nie zrobić żadnego fałszywego kroku.

Nie liczmy na to, że już cały szereg lat pracowaliśmy na niwie szkolnej i że pod względem tak materyału, jak i metody doszliśmy do pewnej biegłości i wprawy. Nam nie wolno spoczywać na laurach, bo koło siebie widzimy ustawiczny postęp i starania o udoskonalenie metody nauczania u świeckich kolegów, więc i my musimy kroczyć tą samą drogą, a kto nie postępuje naprzód, ten się cofa wstecz.

Do klasy powinien wchodzić katecheta z pogodą ducha i uśmiechem na twarzy, by uczniowie wiedzieli, że to wchodzi przyjaciel, kapłan, który ma im odsłaniać nietylko prawdy Boże, niezłomne jak granit, a prowadzące nieomylnie przez szlaki tego ciernistego żywota do szczęśliwej wieczności, lecz także doradca życzliwy, do którego może i powinien uczeń się zwrócić z całem zaufaniem w każdej potrzebie.

W postępowaniu z uczniami powinien katecheta unikać dwóch ostateczności, a mianowicie zbytecznej surowości i zanadto daleko idącej pobłażliwości, bo według znanego przysłowia „in medio virtus.“

Zbyteczna surowość i nadmierne wymagania ze strony katechety zrażają uczniów do nauki religii, bo religia, to nie łacina, matematyka, lub inny przedmiot świecki, gdzie brak pewnych wiadomości zmusza nieraz nauczyciela do zapisania złej noty.

Niech więc uczniowie uczą się religii z ochotą, a nie złorzeczą tak katechecie, jak i przedmiotowi, kiedy mimo pilnego przygotowania się otrzymują złe noty z tego przedmiotu.

Nauka religii ma ucznia nietylko oświecić o prawdach religijnych, lecz także umocnić i podnieść na duchu oraz wprowadzić pogodę w jego serce, bo to nauka w Tym, który według znanych słów Pisma św. „uwesela młodość jego“.

Co więcej, nie waham się wypowiedzieć zdania, iż miłość i przywiązanie uczniów do katechety oddziaływa dodatnio na religijne usposobienie uczniów i odwrotnie.

Z drugiej strony należy unikać względem uczniów zbytecznej pobłażliwości, która na wszystko pozwala, bo

ta wyrodzi się w słabość, a wtenczas będą uczniowie lekceważyli katechetę i przedmiot przez niego wykładany.

Co innego jest być dobrym i życzliwym dla młodzieży, a co innego słabym. Niech uczniowie wiedzą dobrze o tem, że katecheta jest dla nich życzliwym, ale niech mają to przekonanie, że w danym razie potrafi być stanowczym. Niech katecheta umie zająć takie stanowisko, by uczniowie z przywiązania do niego nie robili mu przykrości i uczyli się chętnie.

Naukę religii trzeba ożywiać przykładami — nie banalnymi, bo z takich będą się uczniowie śmiali, lecz zajmującymi i aktualnymi.

Jest także niezmiernie ważną rzeczą, by mimo szczupłej ilości godzin, poświęcić choć $^1/_4$ godziny na lekturę w szkole rzeczy, mającej ścisły związek z wykładanym przedmiotem, jeśli nie na każdej lekcyi, to przynajmniej od czasu do czasu.

Rozumie się samo przez się, że treść lektury musi być dobraną starannie, bo tylko taka zajmie uwagę uczniów. O lekturze poza szkołą wspomnę jeszcze słów kilka, tu tylko zaznaczę, iż lektura w szkole wpływa na wszystkich uczniów, doświadczenie zaś niejednego z nas dowodzi, iż niejednokrotnie biorą uczniowie od katechety książki do czytania, nawet bardzo poważnej treści, a później oddają je po przeglądnięciu ich tylko powierzchownem.

Dobrą jest także rzeczą zachęcać uczniów zdolniejszych, by zdawali w klasie sprawę z przeczytanych książek, lub przynajmniej ważniejszych traktatów, lecz i w tem szczupłość godzin stoi na przeszkodzie, bo katecheta musi się oglądać, by wyczerpał przedmiot i dał swoim uczniom całokształt wiedzy religijnej przynajmniej w zarysach, zakreślonych przez podręczniki szkolne. Co do metody nauczania, to według mego zdania, każda jest dobra, która prowadzi do celu wytkniętego t. j. niech katecheta tak uczy, by nietylko zachował wiarę w sercach uczniów, ale ją jeszcze spotęgował, by ona była dla nich słupem ognistym i pochodnią jasno gorejącą przez całe życie.

Niechaj podczas nauki nie milczy i o tem, co się dzieje wśród społeczeństwa, niechaj uczniów, zwłaszcza starszych, zaznajamia ze wszystkimi prądami współczesnymi i oświetli je tak, jak na to zasługują ze względu na stosunek ich do Kościoła i wiary św.

Niezmiernie ważną rzeczą, zwłaszcza w klasach wyższych jest apologetyka, czyli odpieranie i zwalczanie zarzutów, jakie stawiają wrogowie wiary św., lub też wątpliwości, jakie się niejednokrotnie nasuwają uczniom.

Każdy z nas chyba przyzna, że byłoby rzeczą pożądaną powiększenie liczby godzin nauki religii, zwłaszcza w klasach najwyższych, bo wtenczas możnaby poświęcić choć jedną godzinę w tygodniu na wykład apologetyki dla uczniów, którzy niedługo opuszczą mury zakładów średnich i wejdą w wir życia akademickiego i tego winniśmy się głośno domagać na naszych zjazdach, oraz za pośrednictwem naszej Władzy duchownej.

Zanim to jednak nastąpi, trzeba robić, co można i uwzględniać moment apologetyczny przy każdej nadarzonej sposobności, czy to przy nauce dogmatyki, etyki, czy historyi kościelnej. Rozumie się zaś samo przez się, że do tego winien się katecheta starannie przygotowywać, by mógł wykładać jasno i przekonywająco.

Niech zachęca uczniów już od klasy piątej, by się do niego zwracali z wątpliwościami przeciwko wierze z całem zaufaniem, lub też do światłego spowiednika, niech im stanowczo oświadczy, iż nie ma zarzutu takiego, na któryby nie było należytej odpowiedzi, bo co rozum wymyślił przeciw wierze św., to rozum odeprzeć zdoła.

Roztropny katecheta pozna również, kiedy przytaczanie zarzutów, lub wątpliwości ze strony uczniów będzie rzeczywistą potrzebą, a kiedy nadużyciem, by zająć niepotrzebnie drogi czas katechecie i odpowiednio do tego postąpi

W stosunku do uczniów tak w szkole, jak i poza szkołą powinien katecheta zachować niezmierną życzliwość, boć przecież jest głosicielem i przedstawicielem religii, której treścią sama miłość, lecz jak zawsze i wszędzie, tak i tu potrzebną jest wielka roztropność.

Zdarza się bowiem często, że uczeń potrafi nadużywać dobroci serca katechety i maskować się wobec niego, przybierając pozory ucznia pobożnego, by tylko wyzyskać jego życzliwość. Niejeden z nas doświadczył tego na sobie, a później się przekonał, iż padł ofiarą obłudy ucznia, który na wsparcie nie zasługiwał.

Nie wolno nam jednak tem się zrażać i zamykać ręki i serca dla prawdziwie potrzebujących uczniów. Wiemy z doświadczenia, iż uczniów prawdziwie ubogich i potrzebujących musi wyszukiwać sam katecheta, bo oni dumni, jak zubożały szlachcic hiszpański, kryją się ze swą biedą, a katecheta dowiaduje się o ich stanie majątkowym nierzadko dopiero od osób trzecich. Takich otoczyć opieką i pomocą, podać im sposób do życia i nauki dalszej, oto szczytne zadanie katechety. Zwyczajnie stoją katecheci na czele instytucyi humanitarnych w szkołach średnich, mających na celu wspomaganie ubogiej młodzieży. Mam tu na myśli t. z. „Pomoc koleżeńską." I tu potrzebna jest katechecie wielka roztropność, by zapomogi otrzymywali uczniowie wzorowi, a prawdziwie potrzebujący, którzy na to rzeczywiście zasługują, czy to przez dostarczanie im ubrania, lekarstw, czy nawet dopłaty do stancyi i wiktu.

Nie doradzałbym jednak żadną miarą udzielania zapomóg uczniom w gotówce. Niech katecheta poświęci na to choćby i godzinę czasu, by zapłacić uczniowi stancyę, sprawić ubranie lub obuwie, bo grosz, wręczony uczniowi do ręki na cele powyższe, obraca niejeden z nich na inne rzeczy!

Przy rozdziale i rozdawaniu zapomóg niech katecheta postępuje tak, ażeby mu nikt nie zrobił zarzutu stronniczości.

Niechaj się porozumiewa w tym względzie z profesorami, uczącymi w tej klasie, co więcej, niech wybierze razem z całą klasą komisyę, złożoną z trzech kolegów, któraby mu wskazywała uczniów, prawdziwie potrzebujących, a wtenczas cel właściwy zostanie osiągnięty, sam zaś katecheta uniknie zarzutu stronniczości, może nawet całkiem niesłusznego.

Jeszcze jedna uwaga! Bardzo często zwracają się uczniowie do swego katechety z prośbą o pożyczenie pewnej kwoty.

W tym względzie trzeba być bardzo ostrożnym, bo zgłaszają się o pożyczkę zwyczajnie tacy uczniowie, którzy roztrwonili pieniądze, przysłane im z domu rodzicielskiego na stancyę, ubranie, lub opłatę szkolną.

Zdarzają się jednak niekiedy wypadki godne uwzględnienia, więc znów niechaj katecheta postąpi, jak mu roztropność wskaże, lecz niech zobowiąże ucznia do oddania, bo może łatwo nieopatrzna hojność wypaczyć charakter ucznia i przyzwyczaić go do zaciągania lekkomyślnego długów. Kiedy zaś uczeń zgłosi się i chce pożyczone pieniądze oddać, może mu je katecheta darować, lub go zobowiąże, że te pieniądze da jakiemu biednemu uczniowi, gdy sam będzie na stanowisku.

Ucznia, któryby lekceważył przyjęte przez siebie zobowiązanie, niech pouczy, by przynajmniej prosił o darowanie mu pożyczonej kwoty, jeśli jej nie może oddać, by się nie przyzwyczajał do zaciągania pożyczek bezzwrotnych.

Niezmiernie ważną jest również opieka katechety nad uczniami poza murami szkoły.

Jest to sprawa częstokroć nieco drażliwa, lecz konieczna. W miastach wielkich, gdzie uczeń gubi się wśród mrowiska ludzi, napotyka ta sprawa na wielkie trudności, w mniejszych miastach i miasteczkach jest łatwiejszą. Katecheta powinien mieć w katalogu dokładne zapiski, gdzie i u kogo uczeń mieszka, by w danym razie, gdy uczeń zachoruje, mógł mu przyjść z pomocą, dostarczyć lekarstwa i lekarza, jeżeli stosunki są tego rodzaju, że opieka domowa uczynić tego nie chce, lub też nie może.

Odwiedzanie chorych uczniów i zajmowanie się nimi będzie nietylko spełnieniem przez katechetę uczynku miłosiernego, ale nadto zjedna mu wdzięczność chorego i miłość innych uczniów, bo taka jest natura ludzka, że jej imponuje każde nawet niewielkie poświęcenie dla bliźniego.

Nie omieszka również katecheta odwiedzić ucznia, o którym wie, że lekkomyślnie opuszcza często szkołę,

lecz zajmie się nim po ojcowsku, zachęci serdecznie do pracy, wskaże na trudy i koszta, jakie rodzice ponoszą dla jego utrzymania i wychowania, zachęci go, by nie powiększał liczby „straceńców“ między kształcącą się młodzieżą polską.

Zajmie się również losem uczniów wydalonych ze szkoły za poważne przestępstwa. Nic łatwiejszego jak rzucić na kogokolwiek kamieniem potępienia, lecz to nie zgadza się z powołaniem kapłana katolickiego. Kto wie, jakie czynniki złożyły się na upadek ucznia? Może stał się łupem własnej lekkomyślności, może padł ofiarą złego towarzystwa, lub stancyi nieodpowiedniej. Stało się, konferencya nauczycielska wykluczyła ucznia z zakładu, a on stoi w niemem przerażeniu i niewie, co ze sobą począć. Wtenczas powinien katecheta sam zbliżyć się do niego, pocieszyć go i podnieść go na duchu, wskazać drogę ratunku. Będzie to dowodem miłości prawdziwie chrześcijańskiej, a uczeń wydalony przekona się, że katecheta nie „łamie kija nad jego głową“ i nie potępia go bezwzględnie, lecz podaje mu pomocną rękę do podźwignięcia się z upadku.

Trudniejszą jest sprawa z odwiedzaniem stancyi w zwyczajnym czasie, a jednak jest to rzeczą niezbędną.

Jeżeli w zakładzie istnieje zwyczaj, że grono nauczycielskie z obowiązku to czyni, natenczas katecheta nie napotyka tu żadnej trudności.

Zwyczajnie dzieli się stancye uczniowskie na pewne rejony, podzielone między profesorów zakładu, którzy je odwiedzają po dwóch w pewnych odstępach czasu i spostrzeżenia swe przedkładają dyrektorowi, lub występują na konferencyi z odpowiednimi wnioskami, by ewentualnie uczeń zmienił stancyę, która nie jest dla niego odpowiednią.

Od takiego zwiedzania stancyi nie powinien usuwać się katecheta, owszem, niechaj okaże i przy tej spobności, że troszczy się o dobro moralne i materyalne uczniów; zetknięcie się zaś z opieką domową ucznia pouczy go o niejednej rzeczy, o której dotychczas nie wiedział.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy w zakładzie nie ma zwyczaju odwiedzania stancyi uczniowskich. Gdyby w tym wypadku czynił to katecheta, narazi się na zarzut szpiegowania uczniów, a może nawet na inne nieprzyjemności! W tym razie niech wejdzie w porozumienie w zakładzie z profesorami dobrze myślącymi i domaga się na konferencyi stanowczo tego, żeby grono objęło z nim razem opiekę nad stancyami uczniów.

Nie łudźmy się, wszyscy uskarżamy się na coraz to gorsze stosunki między kształcącą się młodzieżą, a przecież „lwią część" złego przypisać trzeba złym mieszkaniom uczniów. Gospodyni, trzymająca uczniów na stancyi, milczy o ich wykroczeniach, bo się boi, by jej nie wypowiedzieli mieszkania, milczy, gdy uczniowie grają w karty i oddają się pijatyce, milczy, gdy uczniowie bez ważnej przyczyny zostają w domu i udają chorych. Zetknięcie się, bodaj od czasu do czasu, z opieką domową i zapytywanie się taktowne o zachowanie się ucznia, podniesie powagę nadzoru domowego wobec niego, a z drugiej strony będzie on wiedział, że komisya nauczycielska może każdej chwili zaglądnąć na stancyę, by się przekonać, co on porabia i jak się zachowuje po za szkołą!

Ważną rzeczą w wychowaniu kształcącej się młodzieży są wycieczki po za mury miasta, by młodzież pod nadzorem swych nauczycieli mogła odetchnąć świeżem powietrzem i zabawić się.

My starsi pamiętamy, jak to za dawniejszych czasów młodzież chętnie spieszyła za miasto i zajmowała się grą w piłkę i zabawami na świeżem powietrzu. Prawda, że i dzisiaj w wielu zakładach uprawia się sporty różnego rodzaju, rzadszemi jednak stały się wycieczki klas pojedynczych z profesorami na czele za miasto. Od takich wycieczek niech się nie usuwa katecheta, lecz owszem bierze w nich chętnie udział, bo tam otwierają się serca i dusze młodzieńcze, tam możemy poznać lepiej charaktery i usposobienie uczniów, którzy się nam przedstawiają takimi, jakimi są w rzeczywistości, uczniowie zaś zbliżą się do katechety i nabiorą do niego zaufania.

Podczas tak zwanych majówek niech katecheta odprawi dla uczniów mszę św. w poblizkim kościele na wsi lub w miasteczku, by się uczyli każdą sprawę, a nawet zabawy zaczynać od Boga, z drugiej strony będzie to zbudowaniem dla ludu wieśniaczego, który śledzi pilnie zachowanie się uczniów przy każdej nadarzonej sposobności a ich postępowaniem albo się buduje, albo też gorszy.

Katecheta niech będzie zawsze pośrednikiem między uczniami a profesorami w najlepszem tego słowa znaczeniu. Nie rozchodzi się tu o pogoń za popularnością, bo tego nie może i niepowinien mieć katecheta na myśli, ale niech uczniowie wiedzą o tem, że w przykrej chwili zawsze znajdą u niego radę i pomoc w granicach możliwości.

Z tego powodu jest rzeczą nader pożądaną, nie wymieniając już innych racyi, by katecheta starał się utrzymać tak z dyrektorem, jak również z gronem nauczycielskiem stosunek przyjacielski, oczywiście nie za cenę ustępstw i zaparcia się swych istotnych obowiązków i zasad, od których mu odstąpić nie wolno. Wiemy o tem wszyscy z doświadczenia, że dobry stosunek katechety do grona ułatwia mu niezmiernie jego działalność duszpasterską i zwiększa wpływ jego na uczniów.

Otwartość i szczerość w postępowaniu z uczniami niech będzie cechą charakteru każdego katechety. Trzeba nam unikać tego wszystkiego, co mogłoby nas narazić na zarzut „szpiegostwa“, na co są nader czułe nietylko serca młodzieńcze!

W przeciwnym razie działalność katechety będzie bardzo utrudnioną a nawet sparaliżowaną. Złe wszelkiego rodzaju ma to do siebie, iż „wyjdzie na wierzch jak oliwa“ wcześniej czy później, a zresztą katecheta roztropny ma liczne sposoby, by się dowiedzieć o tem, co się między uczniami dzieje.

(Dok. nast.)

X. Józef Wątorek.

Z powodu artykułu: „O stosunku katechetów do duchowieństwa parafialnego".

Zapewne niema dwóch zdań, że instytucya kaplic szkolnych, jak zauważył Autor tego artykułu — porównaj Miesięcznik katechetyczny Nr. 10 z r. b. — ma swoje bardzo ujemne strony i tylko w wyjątkowych warunkach może być tolerowana jako malum necessarium. Kaplica szkolna może być wygodna dla dziatwy, dla katechety, może i dla parafian, aczkolwiek co do tych ostatnich czy zawsze i wszędzie, nie ośmieliłbym się twierdzić! Czytaliśmy w swoim czasie artykuł Gazety Kościelnej p. t. Pius X. o krótkich naukach przy każdej Mszy św. Mianowicie w dniu 6. czerwca 1911 r. Ojciec św. Pius X wystosował do biskupów Brazylii list, w którym między innemi mówi też o kaznodziejstwie kościelnem, napominając wszystkich kaznodziei, by nie zaniedbywali pod żadnym warunkiem obowiązku nauczania wiernych za pomocą kazań. Potem tak pisze: „Byłoby to nader korzystne dla ludu chrześcijańskiego, gdyby i u was został zaprowadzony bardzo zbawienny zwyczaj, praktykowany już pilnie w innych dyecezyach, który polega na tem, że każdy kapłan świecki i zakonny co niedzielę i święto w czasie Mszy św. przemawia do wiernych od ołtarza o jakiej prawdzie wiary. Gdzie jest brak kapłanów, jest to sposób najprostszy pouczenia wiernych o obowiązkach chrześcijanina i bardzo pragniemy, żeby kapłani ten zwyczaj zaprowadzili i trzymali się go". X. Gatterer w Kathol. Kirchenzeitung 28. 9. 1911 dodaje do tych słów Piusa X. takie uwagi: Chrześcijanie powinni co niedzielę i święto w ten sposób słuchać nawet cichej Mszy św., żeby zarazem musieli usłyszeć choć kilka słów o nauce wiary i obyczajów! W ten sposób moc Słowa Bożego dotarłaby znowu nawet do tych tysiącznych rzesz chrześcijan, którzy wprawdzie jeszcze chodzą na Mszę, ale od kazania stronią przez całe lata; idąca za słowem Bożem łaska trafiłaby w serca i zniewoliłaby niejednego do spełniania obowiązków religijnych. — Wszędzie, gdzie tylko zostały zaprowadzone te krótkie przemowy obok kazań parafialnych, doświad-

czono nadzwyczaj błogich skutków tej praktyki (Por. Gazetę Kościelną z r. 1911 Nr. 44). Artykuł ten nasuwa przeróżne refleksye. Zauważyć można w naszych parafiach miejskich, że bardzo wielu z pośród wiernych usuwa się od Mszy św., połączonej z kazaniem, t. zw. prymaryi i sumy, a chętniej uczęszcza na ciche Msze św., odprawiane między jedną a drugą dla uczniów i uczennic. W ten sposób bardzo znaczny procent parafian cały rok nie słyszy wcale Słowa Bożego. Otóż zachodzi pytanie, czyżby nie można jakoś temu zaradzić n. p. w ten sposób, by egzorty, głoszone w sali szkolnej, głosić w kościele? Czy z takich egzort nie mogliby korzystać również i inni wierni obecni i o ile? Czy nie byłoby to z uszczerbkiem duchowym dla młodocianych słuchaczy? — Rozważmy! Gdyby w czasie Mszy św. dla młodzieży były w kościele krótkie nauki, mogliby z nich korzystać nawet ludzie dorośli, a to z dwóch względów: 1 Katecheta, każąc do młodzieży, objaśniając prawdy wiary i obyczajów, wykazując błędy młodzieży i przestrzegając przed nimi, a zachęcając do cnót, jakiemi jaśnieć powinna, temsamem i obecnym rodzicom i opiekunom przypominałby pośrednio ich obowiązki względem wychowanków, a nadto rodzice i wychowawcy w słowach katechety, wygłoszonych do dzieci, mieliby sankcyę swej powagi, niejednokrotnie bowiem mogliby się powołać w wychowaniu domowem na słowa gorliwego katechety-kaznodziei. 2. Chociażby nawet katecheta w egzorcie wyjaśniał dobrze znane prawdy wiary i obyczajów, w każdym razie mogłyby z tej nauki, acz w elementarny sposób maluczkim podawanej, korzystać: dzieci ze szkół, które nie mają egzort, dzieci, które przedwcześnie opuściły szkolę, a także i dorośli. Przypomnienie tych prawd byłoby nader pożyteczne dla bardzo wielu wiernych, których poziom umysłowy nie przenosi sposobu pojmowania dzieci w wieku szkolnym, a nawet z pośród inteligencyi dla tych, którzy już „dawno nie wiedzą, gdzie ich podziała się wiara“, którzy zaglądają do kościoła tylko z powodu swych dzieci, a łaska Boża, która „wybiera mdłe, aby zawstydzić mocne“, mogłaby właśnie wówczas przemówić do ich serca, gdyby słowo Boże głoszono w czasie Mszy św. dla młodzieży. Trzeba zatem uniemożliwić wiernym wysłucha-

nie Mszy św. bez Słowa Bożego, jak słusznie zauważa X. Gatterer T. J. którego brak jest jednym z powodów tej strasznej ignorancyi religijnej, że nierzadko słyszeć można narzekającego proboszcza parafii miejskiej, iż człowiek ze stopniami akademickimi nie zna zasadniczych prawd wiary. Nadto zauważyć należy, że obecność młodzieży w kościele stanowiłaby nielada atrakcyę, gdyby nieco większą uwagę zwracano na jej wyszkolenie w śpiewie choralnym.

A jaki pożytek dla samych młodocianych słuchaczy! Słowo Boże, słyszane z ambony intra missam, robi zawsze potężne wrażenie: działa na umysł, pobudza wolę i serce, rodzi dobre postanowienia. Słowo Boże, wypowiedziane nie w zamkniętym pokoju, ale publicznie, ma wobec rodziców i opiekunów powagę bez porównania większą. Młodzież, która przywyknie do słuchania słowa Bożego w sali szkolnej a następnie udaje się do kościoła, by wysłuchać krótkiej Mszy św., odzwyczaja się od słuchania kazań i później zwykle nie uczęszcza na nie, uważając je za zbyt ogólne, nie zastósowane do jej potrzeb; w następstwie zaś tego, nie chcąc słuchać kazań, opuszcza często i Mszę św. Przecież i dzisiaj nauki przygotowawcze do spowiedzi i Komunii św. i rekolekcyjne odbywają się również niekiedy dla uczniów wyższych i niższych klas razem w kościele. Podobnie i w egzorcie niedzielnej, w kościele wygłoszonej, roztropny katecheta potrafi uwzględnić potrzeby młodszych i starszych uczniów. Zarzut, że w takiej nauce nie można pewnych przestróg dawać młodzieży starszej, by młodszej nie zgorszyć, że nie można surowszych dawać upomnień, wytykać błędów więcej drastycznych, by młodzieży nie zrazić, — zarzut ten łatwo odeprzeć. Wszakże powinniśmy zawsze tak mówić o grzechach, żeby nie zgorszyć przytem nikogo. Rodzicom i opiekunom obecnym roztropna przestroga katechety może niejednokrotnie otworzyć oczy!

Zauważyć trzeba nadto, że i powaga katechety wieleby na tem zyskała, okazałby się bowiem wobec uczniów i ich rodziców i opiekunów czemś więcej niż zwykłym nauczycielem religii, lecz prawdziwym ojcem duchownym, czem zresztą

jest istotnie, duszpasterzem, któremu w imieniu Kościoła polecono maluczkim opowiadanie Ewangelii[1]).

Zapewne, że nie jednego z katechetów tego rodzaju zmiana mogłaby dotknąć finansowo z powodu redukcyi godzin, przeznaczonych na egzorty, ale wobec korzyści duchowych dziatwy i ogólnego dobra Kościoła tego rodzaju wzgląd musi ustąpić.

Dobrze, odpowie mi ktoś, ale projekt ten nie da się urzeczywistnić już to ze względu na brak miejsca w kościele parafialnym, już to z powodu nieodpowiedniej godziny, wyznaczonej na nabożeństwo szkolne — a wreszcie dziatwa w czasie mrozów zbyt długo musiałaby pozostawać w zimnym kościele... Jednakowoż przy dobrej woli i te trudności dadzą się usunąć. Weźmy pod uwagę zwykły porządek nabożeństwa w kościołach parafialnych, wiejskich i miejskich. Dwie Msze św. są przedewszystkiem przeznaczone dla dorosłych parafian t. zw. prymarya i suma. Pierwsza najpóźniej zaczyna się o godź. 7. a kończy o 8 g. a druga o $^1/_2$11. do 12. godz. Sądzę, że zostaje czasu jeszcze dość dużo a mianowicie od 8—10. Jeśli przeto jest w miejscu większa ilość szkół, zwłaszcza różnego typu, będzie można urządzić wygodnie w jednym kościele dwa nabożeństwa szkolne, jedno od 8—9, drugie od 9—10. Na zarzut zaś, że młodsza dziatwa w czasie mrozów zbyt długo musiałaby pozostawać w zimnym kościele, odpowiadam, że w porze zimowej nie biorą zwykle udziału w nabożeństwie szkolnem dzieci z I. i II. klasy, a pobyt starszych dłuższy o 10 minut, poświęconych na naukę, nie zaszkodzi ich zdrowiu.

Obowiązkiem rządcy kościoła i parafii będzie wyznaczyć w kościele miejsce wygodne dla młodzieży szkolnej, upomnieć starszych, aby tych miejsc nie zajmowali i przy

---

[1]) Naszem zdaniem dobrze jest niekiedy głosić Słowo Boże w kościele dla wszystkich uczniów zakładu (jak czyni się we Lwowie w 1-ą niedzielę miesiąca, na którą przypada adoracya Najśw. Sakramentu), ale zazwyczaj lepiej mówić osobno dla uczniów klas wyższych a osobno dla niższych. Zresztą brak dostatecznej liczby kościołów i inne przyczyny będą w wielu miastach stały na zawadzie projektowi szan. Autora. *Red.*

pomocy służby kościelnej dopilnować wydanego zarządzenia. Oczywiście nie można będzie projektu tego urzeczywistnić, jeśli rządcy parafii sprzeciwią się temu, a Władze kościelne nie wydadzą odpowiednich zarządzeń.

Na tem kończę swoje uwagi, dotyczące nabożeństwa szkolnego, ale muszę jeszcze uwzględnić zdanie Autora wspomnianego artykułu o stosunku katechetów do duchowieństwa parafialnego. Rzecz pojmuję w ten sposób: Katecheci albo są duszpasterzami albo nie. Jeśli są, to w myśl powszechnego Kościoła są oni pod pewnym względem pomocnikami miejscowego proboszcza, a więc i ogólne polecenia Ordynaryatów wydane dla duchowieństwa parafialnego, i do nich się odnoszą n. p. co do słuchania spowiedzi wiernych w soboty i wigilie świąt w wieczornych godzinach (jak to ma miejsce w niektórych dyecezyach) — oczywiście, jeśli im nie przeszkadzają zawodowe ich obowiązki, n. p. konferencye szkolne, dalej co do stosowania się w urządzaniu nabożeństw szkolnych, przygotowania młodzieży do Sakramentów św. i t. p. do zarządzeń miejscowego proboszcza; — albo nie są duszpasterzami, a wówczas nie może być mowy o zgodzie i jednolitości kierunku pracy duszpasterskiej. Być może, że to właśnie niezrozumienie wzajemnego stosunku, a nadto przecenianie własnego stanowiska którejkolwiek ze stron powoduje gdzieniegdzie pod tym względem sytuacye mniej lub więcej przykre. Sądzę, że w tych wypadkach obie strony powinny wejść w siebie i zastanowić się, co jest przyczyną tego stanu rzeczy. Bardzo wiele spraw łączy nas bez względu na dział pracy i dlatego pamiętać powinniśmy, że tylko wspierając się wzajemnie, dobre rezultaty osiągnąć można i w parafii i szkole. Zbyt daleko idące różniczkowanie duchowieństwa na parafialne i katechetów, jakby to były dwa różne stany, ustać powinno. Zarówno XX. proboszczowie mogą i powinni troszczyć się o szkołę, jak XX. katecheci o dobro parafii, a jeśli się zdarzy, że która strona zapomni o swym obowiązku i jednostronnie pracę swoją traktuje, to druga strona nie jest tem samem uprawnioną do zapomnienia o swej powinności.

X. N.

W tej samej sprawie pisze nam inny czcig. Współpracownik, co następuje:

Odnośnie do poruszonej kwestyi w ostatnim zeszycie październikowym „Miesięcznika“ z r. b. p. t.: „O stosunku katechetów do duchowieństwa parafialnego“, ośmielam się zabrać głos w tej sprawie na podstawie obserwacyi z lat kilkunastu.

Autor, kryjący się pod przyłbicą „Sigma“, dobrze zrobił, że poruszył tę, jak wyraża się, „bolączkę na naszym organizmie kościelnym“, ale i mnie niech będzie wolno do uwag jego dorzucić słów kilka.

Zarzuca on pewnej części katechetów, że „usuwają się od pracy parafialnej i ją lekceważą, że „politykują z proboszczami, ale po za tem nic ich nie łączy z nimi“ i t. d. Nie mogę stwierdzić, czy rzeczywiście są katecheci, którzy usuwają się tak od pracy parafialnej, jak pisze Autor; ci jednak, którzy mi są znani, korzystają z każdej nadarzonej sposobności, aby wspierać duchowieństwo parafialne, zwłaszcza w czasie świąt i wakacyi, kiedy się im słusznie należy wypoczynek. Że mogą zachodzić tego rodzaju sporadyczne wypadki, to rzecz oczywista, bo ludzie są ludźmi, a jeżeli gdzie, to zwłaszcza u nas kapłanów często występuje osobista drażliwość i animozya.

Ale z drugiej strony trzeba i to uwzględnić, że praca katechety wyczerpuje jego siły, że prawie każdy jest obarczony nadmierną liczbą godzin, zwłaszcza w szkołach ludowych i wydziałowych, a pracuje częstokroć wśród warunków niekorzystnych dla zdrowia.

Nic też dziwnego, że nie zawsze rwie się każdy do pracy parafialnej tak, jakby sobie życzył niejeden z księży proboszczów. Wielu moich kolegów uskarża się na chroniczne zapalenie gardła, na bóle głowy z powodu przeciążającej pracy, a jeżeli do tego dodamy zniechęcenie jakie niejednego ogarnia z powodu braku wszelkiego uznania jego pracy, lub też trudnych warunków wśród grona nauczycielskiego, to nic dziwnego, że ten i ów katecheta zamyka się sam w sobie i gorżknieje.

Gdyby jednak miejscowy proboszcz zbliżył się do niego i okazał mu serce, a nie wymagał zbyt wielkich usług za wikt lub stypendya mszalne, to w niejednym wypadku stosunek między nim a katechetą ukształtowałby się ku obopólnemu zadowoleniu i zbudowaniu parafii.

Sądzę, że będę rzecznikiem wszystkich katechetów, jeżeli na tem miejscu zaprotestuję przeciw wyrażeniu Szan, Autora, jakoby u niektórych katechetów dawało się zauważyć pewnego rodzaju lekceważenie zajęć parafialnych. Wszak wszyscy, zanim zostaliśmy katechetami, pracowaliśmy przy parafiach, a katecheta, któryby lekceważył tę zbożną pracę, nie byłby dobrym kapłanem. Przyczyna zaś, że niejeden nie pomaga w pracy parafialnej, leży w tem, że go nikt do niej nie wzywa, a sam nie śmie się narzucać, niekiedy zaś proboszcz, a zwłaszcza, jeżeli jest dygnitarzem, zanadto daje uczuć katechecie swą godność i władzę i wymaga, żeby ten zawsze „machał przed nim wielką kadzielnicą“.

Odnośnie do sprawy k a p l i c, w których gromadzi się młodzież szkolna na nabożeństwo, zupełnie zgadzam się z Sz. Autorem.

Kaplice i oratorya obniżają w oczach uczniów powagę nabożeństwa i praktyk religijnych, ale one są poniekąd w czasach dzisiejszych konieczne. Nietylko po wsiach ale i po miastach za mało jest kościołów w stosunku do liczby ludności, a gdyby wszystkie dzieci szkolne wprowadzono do kościoła, zabrakłoby miejsca dla dorosłych parafian.

Zapewne, że takie nabożeństwa uroczyste, jak pierwsza Komunia św., uroczystość św. Patrona szkoły, powinny się zawsze odbywać w kościele parafialnym i to z jak największą uroczystością, lecz i tu napotyka katecheta często na wielkie przeszkody. Kościół parafialny jest często zajęty, bo w nim odprawia się pogrzeb, ślub, lub zamówiona msza św., więc katecheta musi sobie radzić jak może.

Niechże proboszcz stara się ułatwić katechecie urządzanie nabożeństw w kościele, niech uczniowie nie muszą czekać na Komunię św. do godziny blizko dziesiątej, choć

mogłoby się dla nich odprawiać nabożeństwo o godzinie 8, niech nie żąda, by katecheta miewał wspólną egzortę dla wszystkich uczniów, kiedy poziom ich intellektualny jest różny, a wtenczas nie będzie żadnych dyssonansów między katechetą a proboszczem.

Ile razy katecheta pragnie urządzić spowiedź, lub nabożeństwo, musi się naprosić i nakłaniać na wszystkie strony, bo nietylko, że musi się pokłonić miejscowemu proboszczowi, co rzecz całkiem naturalna, ale także poprosić organistę, kościelnego, a nawet kalikancistę!

Grzeczność grzecznością i do tej czuje się obowiązanym chyba każdy katecheta, ale nie zacieśnia to węzłów przyjacielskich i stosunków między proboszczem a katechetą, jeżeli ten musi się kłaniać zanadto w interesie swej szkoły.

Nie wolno i o tem zapominać proboszczowi, że uczniowie to przeważnie jego parafianie i że katecheta dopomaga mu pośrednio do spełnienia jego zadania, jako pasterza parafii.

Wszak wielu z nas pamięta jeszcze dobrze te czasy, kiedy proboszcz i wikarzy musieli obsługiwać wszystkie szkoły w parafii z wyjątkiem szkół średnich, więc niech katecheta nie będzie uważany za intruza, ale za współpracownika na niwie Kościoła. Niech się proboszcz nie dziwi, że katecheta po ciężkiej pracy w szkole nie zawsze spieszy w progi plebanii, gdzie życzliwość dla niego zależy czasem od liczby i miary usług, jakie oddaje proboszczowi, a nawet od humoru naczelnego zarządu domowego!

Że katecheci, zwłasza ludowi, powinni brać udział w kongregacyach dekanalnych, rzecz to jasna i zrozumiała, bo wspólna wymiana myśli może tylko zbliżyć ich do księży parafialnych i przyczynić się do ujednostajnienia sprawy nauczania.

W dyecezyi tarnowskiej i w innych zobowiązani są do tego osobnem rozporządzeniem Władzy dyecezyalnej.

Aby usunąć obopólne animozye — jeżeli te gdzie istnieją — należy wołać: poznajmy się i zbliżmy się do

siebie w duchu wzajemnej wyrozumiałości i miłości prawdziwie Chrystusowej!

Oddziała to zbawiennie i budująco na parafię, nam zaś oszczędzi niejednej przykrej chwili.

Nieco mniej drażliwości, a więcej wzajemnego ustępstwa, bo jak słusznie powiada Sz. Autor przy końcu swego artykułu, „jedność wśród żołnierzy Chrystusowych jest dziś wręcz koniecznością życiową."

X. Józef Wątorek.

Uwagi krytyczne do prawideł modlitwy p. Abramowskiego w Przeglądzie Filozoficznym.

Wcale oryginalny „Kwestyonaryusz do zbierania danych, dotyczących psychologii modlitwy", ułożony przez p. Edwarda Abramowskiego, zamieszczono w III. zeszycie Przeglądu Filozoficznego z r. b. Cała sprawa zasługiwałaby na poparcie byleby tylko przesłanych odpowiedzi nie oceniał sam autor Kwestyonaryusza. Poglądy bowiem swoje na modlitwę rozwija on w tymże samym zeszycie Przeglądu w artykule zat. „Modlitwa jako zjawisko kryptomnezyi". Podaję tu kilka uwag krytycznych celem uzasadnienia, że rzekomo naukowej metodzie badania p. Abramowskiego ufać nie można.

Otóż p. Abramowski między innemi zgadza się we wstępie ze zdaniem Myersa, że „pytanie, do kogo mamy się modlić, nie ma wielkiego znaczenia, gdyż skutek modlitwy zależy tylko od doskonałości sprawy psychologicznej, jaka wtedy odbywa się"; — następnie podaje cztery cechy modlitwy, asekurując się odrazu z góry przeciw wszelkiej możliwej krytyce uwagą, że coby mogło być jeszcze ponadto, to należy policzyć na karb „indywidualizmu" modlącego się, „wierzeń" religii, do której należy, dalej „tradycyi narodowych", „potrzeb osobistych", „umiłowań, przeżyć różnych nadziei i cierpień".

Cztery te znamiona są:

1) stan skupienia, 2) pewne uczucie jako jego przedmiot; 3) wrażenie obecności czegoś lub kogoś; 4) doznawanie wpływu tej obecności.

Co do skupienia, nie trzeba sądzić, że chodzi tu o skupienie uwagi czynnej, według autora wystarcza uwaga bierna, polegająca na zupełnem uwolnieniu umysłu od wszelkiej pracy i na zwróceniu go natomiast na jeden ogólny „rodzajowy" przedmiot (monoideizm) tak jednak, by nawet skierowania się nie był świadomy, chodzi jednem słowem o zupełnie bierne popadnięcie w bezmyślność. Nie łatwo to komukolwiek dzisiaj przychodzi, bo obecnie osobniki ludzkie, zajęte powszechnie żywym udziałem „w walce o byt" i rozwijając w sobie uwagę czynną, stają się tem samem według autora wprost niezdolnymi do uwagi biernej a zatem i do modlitwy.

Modlić się mogą dziś tylko ci, którzy się nie poddają „współczesnym warunkom cywilizacyi i przmusowi pracy".

Jakże zaś możemy usposobić się do modlitwy?

P. Abramowski poleca znużyć umysł czemś monotonnem, „służy do tego między innemi także odmawianie różańca" — lub także modlitwa „rytmiczna", o której ma mówić Ignacy Loyola w trzecim sposobie modlitwy.

Określenie drugiej cechy modlitwy t. j. nieokreślonego uczucia jest u autora mniej oryginalne. Za to rzuca on rzekomo światło na genezę takich przepisów kościelnych, jak modlitwy za umarłych, rachunek sumienia, spowiedź i t. p. Już przy opisie pierwszej cechy zauważył autor, że wspomnienia z przeszłości ułatwiają bezimienne stany duszy (czyt. bezmyślność) w kryptomnezyi[1]) i one to są powodem jakiegoś nieokreślonego, przyjemnego jednak uczucia w czasie modlitwy. To bezmyślne uczucie nazywa się równoważnikiem uczuciowym i ma być przedmiotem skupienia.

---

[1]) T. zn. w przypomnieniach nieświadomych.

Trzecia cecha modlitwy t. j. uczucie obecności czegoś lub kogoś, jest dla autora najważniejsza, bo z nią łączy on przypuszczenie, którego oczywiście nie może uzasadnić, że w czasie modlitwy podchodzą pod próg naszej świadomości pamięciowej nie tylko stany duszy, któreśmy przeżywali w naszej indywidualnej świadomości, ale nawet stany najodleglejszej, „wstecz idącej ewolucyi gatunków, po przez kręgowce, owady, szkarłupnie, jamochłony, aż do pierwotniaków sięgającej“. Ciekawy ten pomysł nasunęła autorowi ta okoliczność, że modlący się mistycy (od budystów aż do chrześcijan) nie umieją nazwać tego, czego na modlitwie doznają, a jeżeli niekiedy nazywają to Bogiem lub jaką prawdą wiary im jakoby na nowo objawioną, fakt ten tłumaczy się niezwykłością i nieokreślonością doznawanego zjawiska. Tylko wyjątkowo uzdolnieni artystycznie niektórzy prorocy biblijni potrafili te swe nieokreślone odczucia wyrażać w stosownych symbolach poetycznych. Jednem słowem, „bezimienny równoważnik uczuciowy“ pozwala w czasie modlitwy odczuwać „zaklętą, bo bezimienną, lecz żywą historyę przeszłości wszystkich gatunków istot organicznych“!

Mówiąc o czwartem i ostatniem znamieniu modlitwy, stwierdza autor niemożliwość określenia, przy obecnym stanie nauk (naturalnie uznawanych przez niego), skąd się bierze dodatni i wszechstronny wpływ etyczny „doznawanej obecności czegoś“ na całe życie mistyka. Nie jest to bowiem wcale jakaś autosugestya, jakieś wmawianie w siebie cnoty, bo warunki modlącego się temu nie sprzyjają, osobnik idzie się modlić właśnie po to, aby autosugestyi i wszelkim ideom napastniczym raczej przeciwdziałać, aby przez osiągnięcie wewnętrznej swobody i spokoju łatwiej się mógł przystosować do zadań życia.

Ten skutek modlitwy występuje szczególnie pod koniec życia. „Wygląda to tak, jak gdyby na drodze długoletniego doświadczenia religijnego wytwarzała się stopniowo, rosła, ukształcała się jakaś nowa osobowość czło-

wieka, jakaś do głębi przeinaczona jaźń, stokroć potężniejsza od poprzedniej, tryumfująca całkowicie nad zagadnieniami życia i śmierci — jak gdyby w tajnikach skupienia religijnego rodził się i mężniał nowy typ „nad-człowieka" wzorowany na legendach o dawnych bogach, chodzących po ziemi".

A nieco niżej: „Tego wyniku nie daje nigdy ani dysocyacya histeryczna, ani żadna napastnicza idea, rozwijająca się na tle zwyrodnienia".

Trudno poglądy tego rodzaju poważnie traktować. Gdyby nie załączony kwestyonaryusz, nie zasługiwałyby może nawet na wzmiankę. Należałoby jednak rozważyć, jakie stanowisko wypada nam zająć wobec ogłoszonego przez Przegląd Filozoficzny kwestyonaryusza.

Co się tyczy cechy czwartej, można autora zapewnić na podstawie doświadczenia, że nigdy ta cecha nie może mieć miejsca, jeśli modlitwa jest bezmyślną. Bezmyślność na modlitwie nie tylko nie budzi żadnego przyjemnego uczucia ani nie wpływa na rozwój energii życiowej, lecz wprost przeciwnie wywołuje niezadowolnie i nieprzyjemne poczucie straty czasu.

Ale pytanie jeszcze, skąd mogły powstać u autora tak dziwaczne pomysły? Odpowiedź na to łatwa: autor po pierwsze zabrał się do badania z powziętym z góry zamiarem uzupełnienia teoryi ewolucyi gatunków, w najskrajniejszem pojęciu, z punktu widzenia psychologii modlitwy a powtóre bądź nie brał sprawozdań z doświadczeń katolickich autorów mistycznych bezpośrednio u źródła, tylko pośrednio już w oświetleniu podobnie dziwacznem, jakiego sam daje przykład, bądź też wybierał takie osobistości, jak pani Guyon[1]), której chorobliwy mistycyzm nie może służyć za podstawę do badań.

X. Izydor Richter.

---

[1]) Jeanne Marie Bonvier de la Motte Guyon — głośna niegdyś zwolenniczka kwietyzmu Moliny. Jej poglądy były może pomostem dla p. Abramowskiego między budyzmem a chrześcijaństwem; cytuje też jej zdanie o pracy nad „zniszczeniem siebie".

Egzorta na uroczystość Niep. Pocz. N. P. M.

(Dla klas wyższych gimnazyalnych).

Wszystka jesteś piękna przyjaciółko moja, a niemasz w tobie zmazy. (Cant. 4, 7.).

Moi drodzy! Słusznie odnosi Kościół katolicki te słowa Ducha św. do N. M. Panny. Wszystka Ona piękna — łaską Bożą obdarzona tak hojnie, jak tylko mogło być nią szczodrze obdarowane stworzenie. Prawdziwie też Ona jedna bez zmazy, bo nawet bez śladu grzechu pierworodnego. Z pomiędzy wszystkich ludzi Ona jedyna nie ma potrzeby, nie może nawet się użalać słowami psalmu: Oto bowiem w nieprawościach jestem poczęty!..“ (Ps. 50, 7).

W Jej dnie święte jakieś dziwne drzenie przenika duszę ludzką, w której tli choć iskierka wiary. Może być zbrudzona aż do dna mnóstwem grzechów, przygnębiona poczuciem ogromu winy swojej, spętana więzami złych nałogów, jeżeli jednak zdolną jest jeszcze odczuć piękno duchowe, jeżeli jeszcze potrafi podnieść wzrok swój ku Maryi — o nie rozpaczaj o niej! Doświadczenie wieków dwudziestu stwierdza, że może być uratowaną! W życiu ludzkiem dzieją się nieraz rzeczy podobne do tych, jakie opowiada autorka (Eliza Orzeszkowa) w noweli p. t. „Dziwna historya“.

Młody człowiek, lekkoduch, hulaka, wiodący życie, nie zabarwione żadną poważniejszą myślą, tak z dnia na dzień, poznał osobę młodą, której życie i postępowanie całe było przeciwieństwem jego. On zbrukany błędami i grzechami młodości, bez celu żadnego i myśli przewodniej, ona dusza czysta, pełna zapału dla wszystkiego, co wielkie i dobre i piękne. W pierwszej chwili był jakby odurzony tą dziwną atmosferą duchową, jaka go owionęła; potem przyszło uczucie przesytu i obrzydzenia wobec dotychczasowego życia. Postanowił zmienić się, poprawić za wszelką cenę. Niestety wir wypadków dziejowych r. 1863. wtrącił go w otchłań pokus. Z zemsty osobistej wydał wrogom jednego z powstańców, człowieka bardzo bogatego, a otrzymawszy zapłatę Judaszowej zbrodni — rząd obdarzył go skonfiskowanym majątkiem zdradzonego — rzucił się z całą siłą w wir hulaszczego życia, aby zagłuszyć wyrzuty sumienia, by znaleźć spokój i zadowolenie. Nie szło jednak, bo słusznie powiada poeta:

„Ach żałość za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą
Anima immaculata!“ (Skirmunt).

Tej tęsknoty i on w sobie stłumić nie potrafił. Poszedł do spowiedzi, zwrócił majątek rodzinie zdradzonego, zrobił wszystko,

co mógł, dla ulżenia losu ofierze swej zemsty. Ale to mu nie wystarczyło. Ponieważ mową zgrzeszył, więc pozbawił się dobrowolnie jej używania na zawsze. Jako niemy drwal obchodzi domy i zarabia na utrzymanie swoje i ginie w nędzy. A jednak nie narzeka, nie jęczy; twardą dolę opromienia mu myśl, że uczynił wszystko, co było w mocy jego, by zbliżyć się choć trochę do ideału: duszy nieskalanej — anima immaculata!

W każdej duszy ludzkiej żyje poczucie i pragnienie moralnego piękna i dobra i zarazem przekonanie, że szczęście tylko w tem, co wzniosłe i szlachetne. Namiętności nasze i słabość woli sprawiają, że go szukamy gdzieindziej — w grzechu. Ale dusza nie ukoi się w tęsknocie swojej, nie zazna tak długo zadowolenia, dopóki nie będzie dążyła ku ideałowi swemu, ku „anima immaculata“! Wielka to zaiste łaska Boga, który nam nie pozwala zapomnieć o szlachectwie rodowem duszy naszej i budzi w nas tęsknotę za tem, co czyste i nieskalane. Stąd tak chętnie przenosimy się myślą w kraj lat dziecinnych i tem chętniej w nim przebywamy, im bardziej „anielską“ była młodość nasza.

A z tej młodości naszej pozostanie z pewnością najbardziej pociągającą dla każdego postać ukochanej matki, co trzymając cię na rękach, wskazywała na obraz Najśw. Panienki i opowiadała ci, że to druga Matka twoja, która ciebie nigdy nie opuści, że możesz się z całą ufnością zawsze do Niej uciekać, a zwłaszcza wtedy, gdy sumienie ci będzie wyrzucało niewierność wobec Boga. I niewinnemi oczami dziecka spoglądałeś na obraz Bogarodzicy. — Od tej błogiej chwili może już dużo upłynęło lat, a w ich szeregu i takie może, któreby gorzkiemi należało opłakiwać łzami. Może szron obojętności religijnej pokrył serce twoje, może miłość ku Bogu i zapał dla ideałów zniszczył mroźny i palący zarazem powiew namiętności i grzechu. Ale jedno pewne. Ilekroć budził się w tobie poryw ku dobremu, ilekroć zwracałeś się ku Bogu, co rozweselać chce i sam jeden potrafi młodość twoją, na ustach twoich zjawiało się imię Maryi i wargi twe bezwiednie prawie szeptały „Zdrowaś Maryo“. Do Niej modliłeś się przed spowiedzią, do Jej ołtarza kierowałeś kroki, wracając pojednany z Bogiem od konfesyonału. I trwałeś w dobrem czas jakiś, w walce z namiętnościami i pokusami, a święte postanowienia swoje i myśli wszelkie dobre i drobne i wielkie zwycięstwa nad sobą samym i światem w ręce oddawałeś Maryi. I bodaj, że się nie omylę, gdy powiem, że wtedy dopiero ustawałeś w walce ze złem, a tem samem w pracy nad sobą, wtedy dopiero oręż wypadał ci z ręki, gdyś tracił z oczu twej duszy postać Przeczystej Panienki, gdy na ustach twoich zamierała modlitwa do Niej. O spojrzyj w serce twoje i wyznaj szczerze, żali tak nie było? Czyż miarą twego postępu duchowego i twojej pracy nad wyrobieniem charakteru nie była gorliwość w nabożeństwie do Niepokalanej?

A jak jest teraz? Czy pracujesz nad sobą? Czy modlisz się do Niej?

Człowiek nie może żyć bez ideałów. Gdy ich nie ma, marnieje duchowo i ciężkim się staje i sobie i drugim. I musi mieć pewność, że ten ideał jego może być urzeczywistniony, że nie pozostanie w sferze mrzonek, że może przybrać na się krew i kości. I pragnie mieć wzór przed sobą, którýby odbijał od otaczającej go dokoła szarzyzny życia i płonął jasno, jak słup ognisty, co żydom drogę wskazywał na pustyni. Na ziemi trudno o taki. O ileż już razy bywało, że ci, którzy nam się być zdali ucieleśnieniem najwznioślejszych marzeń naszych, utracili w oczach naszych nimb duchowości, bo albo rozmiłowali się w bydlęcej strawie zmysłowego użycia, albo po przez łachmany ideałów, którymi się zdobili, wyzierał najpospolitszy egoizm. Ludzie zmieniają się. Ale nie zmienia się Jej postać. Jak za ziemskiego żywota swojego, tak i teraz cicha i pokorna Służebnica Pańska, a jednak pełna duchowego życia i wszystka piękna i zawsze bez zmazy. Prawdziwa Anima Immaculata! Niepokalanie poczęta!

Ale żeby móc dążyć na wyżyny, do tego sił potrzeba i to sił wielkich. Prawda, już sam widok szczytów dźwiga i podnosi, lecz jeśli droga żmudna i daleka, a siły nadszarpane — widok ten nie wystarczy. Pielgrzymka w świat duchowych ideałów nierównie mozolniejsza, niż wstępowanie na ziemi na gór najwyższych wierzchołki. Ale Ta, która całą istotą swoją do „rzeczy wyższych“ nas woła, nie odmawia nam swojej pomocy. Jak matka nie tylko dziecko chodzić uczy, ale i rękę mu swą podaje, tak Marya modli się za nami, a modlitwa Niepokalanej, modlitwa Matki Bożej skłania ku nam dłoń miłosierdzia Bożego i łaska Najwyższego dźwiga nas. Niedarmo sztuka malarska opromieniła nie tylko Jej głowę, ale i ręce ku nam wyciągnięte. Zaprawdę Ona czemś więcej niż tylko „Anima immaculata“, Ona łaski pełna, Ona fons omnis gratiae!

Zadaniem Jej i posłannictwem wielkiem było dać światu Zbawiciela, dać Jezusa Chrystusa. I jak spełniła wolę Bożą, mówiąc: „Oto ja służebnica Pańska“ i dając światu Jezusa, dała ludziom życie łaski, tak jest i teraz tą Bożą Rodzicielką życia nadprzyrodzonego w duszach naszych, życia pełnego hartu i mocy. I gdybyśmy umieli się dobrze wczytać w żywoty chrześcijańskich bohaterów, Świętych, gdybyśmy zdołali wsłuchać się w pienia pochwalne, przez ich zastępy na cześć Boga nucone, doleciałby nas powracający wciąż refren: „A przyszły mi pospołu z Nią wszystkie dobra i niezliczona poczciwość przez ręce Jej“. (Sap. 7, 11).

O teraz zrozumiesz, dlaczego dobrej matce twojej tak wiele zależało na tem, aby zaszczepić głęboko w sercu twojem nabożeństwo i cześć dla Maryi. Kochającem sercem odczuwała głęboko, że

na drodze życia utracić możesz i idealizm doszczętnie i siły do walki o ideały duchowe. Dlatego od zarania żywota twego wzrok twój kierowała do Maryi: „Aspice stellam, voca Mariam!“

Z tem samem wezwaniem zwraca się w dniu dzisiejszym do ciebie Kościół katolicki, duchowa twa macierz. „Spojrzyj na gwiazdę, wezwij Maryę! Ożyw wiarę twą w wielkie ideały Boże! Pracuj nad sobą, walcz i zmagaj się ze złem, co cię dokoła otacza. Marya będzie z tobą a duch złego i kłamstwa legnie u stóp twoich. Jednegoć potrzeba, weź się szczerze do pracy nad sobą et voca Mariam!“

A Ona, która za ziemskiego żywota żadnych nie czyniła cudów, Ona je teraz zdziała w duszy twojej, bo Ona zawsze „Światłem dobroci, co nie zna mroków, ratunkiem dla najnędzniejszych, Maryą współczucia, Matką litości[1])“. Amen. *X. C.*

Egzorta na IV. Niedzielę Adwentu.

(Dla szkół ludowych).

„Przybliżyło się królestwo niebieskie“. (Mat. III. 2)

Temi słowy rozpoczyna św. Jan swe pierwsze kazanie nad brzegami Jordanu. A wieść radosna o królestwie niebieskiem lotem błyskawicy szerzy się po wioskach i miastach żydowskich. Serca biją żywiej, oczy łzą zachodzą! Spełnione nadzieje! Przybliżyło się nareszcie to tak gorąco oczekiwane królestwo Mesyasza!... Starzy i młodzi marzą już o świętej wojnie, na którą ich Mesyasz poprowadzi. Gotują się po cichu na bój z Rzymianami, na bój zwycięski, który kres położy ich niewoli, uczyni ich panami świata. Inni spieszą na puszczę do św. Jana, aby bliższych zasięgnąć wieści. Przychodzą. Dziwne słyszą tu słowa, — słowa, jakich dotychczas nie słyszeli. „Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się królestwo niebieskie.“ Jasno prostuje św. Jan błędne pojęcia, które szerzyli o królestwie Mesyasza uczeni zakonni. Mówi, że Mesyasz-Zbawiciel przyjdzie niedługo, a przyjdzie, aby uwolnić ludzi z niewoli — szatana. Że założy królestwo wielkie, ale królestwo duchowe, a do tego królestwa wejdzie tylko ten, kto przygotuje serce swoje przez pokutę, żal serdeczny. Tak pięknie, tak potężnie mówił św. Jan, że wielu pozostało przy nim na puszczy, by przez pokutę, życie umartwione przygotować się na przyjęcie P. Jezusa. Taki był skutek nauk św. Jana na puszczy.

---

[1]) Huysmans.

Przybliżyło się Boże Narodzenie. Kilka zaledwie dni oddziela nas od tych najweselszych świąt w ciągu roku. A im bliżej, tem więcej radości wśród ludzi a zwłaszcza wśród dzieci. Starsze wykańczają piękne szopki, młodsze śnią o Bożem drzewku, o wilii, o kolendach. Radość na obliczu rodziców, radość wszędzie. Dobra to radość. Ale sama nie wystarcza, nie zastąpi właściwego przygotowania na Boże Narodzenie. „Czyńcie pokutę“ woła Kościół św. za św. Janem „Gotujcie drogę pańską“. Przygotujcie serca wasze, wyrzućcie z nich wszystko, coby mogło nie podobać się P. Jezusowi, a radość wasza będzie zupełna. Wiem, że wzięłyście sobie słowa te i nauki do serca. Byłyście u spowiedzi i Komunii św. Dusze wasze czyste. Zapytacie może jeszcze, co więcej uczynić, aby P. Jezus był z nas zadowolony — cieszył się nami? Zamiast szczegółowych wskazówek, opowiem wam dwa zdarzenia, a serca wasze same wam powiedzą, co czynić macie.

Lat temu 1912, w tych właśnie dniach, z odległych stron Galilei, wybiera się w podróż daleką dwoje ubogich ludzi. Droga prowadzi do Betlejem. On, starszy, z trwogą spogląda na towarzyszkę podróży, drogą wielce znużoną. To Marya i Józef. Po długich dniach męczącej wędrówki zbliżają się wreszcie do bram Betlejemu. Dręczy ich obawa, ażali znajdą w mieście Dawidowem schronienie, gościnne przyjęcie. — Niestety! — Idą od domu do domu, od drzwi do drzwi. Pukają — wszystkie drzwi zamknięte.. Tu i ówdzie nie odpowiadają na ich pukanie. A jeśli kto wyjdzie, to tylko na to, aby im krótko odpowiedzieć: „niema miejsca!“ W całem miasteczku nie znalazło się ani jedno miłosierne, dobre serce. Nie znalazł się ani jeden człowiek, coby dał przytułek biednym podróżnym! Pisząc o tem, św. Jan mówi te słowa: „Przyszedł do własności, a swoi go nie przyjęli“ (Jan I, 11.). Przyszedł P. Jezus do królestwa swego a właśni poddani Go nie przyjęli. Bolesna to skarga!....

Czyż to samo nie powtarza się nieustannie do dziś dnia? Już w Objawieniu św. Jana (III, 20.), żali się P. Jezus na ludzi: „Oto stoję a drzwi i kołacę, jeśliby kto usłyszał głos mój i otworzył mi drzwi.....“ Cóż znaczą te słowa? Widziałyście zapewne na obrazku, jak to P. Jezus przechodzi na ziemi, obok domów i chat ludzkich, jak puka do drzwi i czeka, czy kto nie otworzy. Kołace P. Jezus do serca ludzkiego, woła: Synu, daj mi serce twoje! A ludzie najczęściej zamykają serce swe dla P. Jezusa. Dla Niego niema często w sercach ludzkich miejsca! W tych dniach, teraz przed Bożem Narodzeniem przypominajcie sobie często te chwile smutne, jakich doznała w Betlejem Najśw. Panna i św. Józef. Przejmujcie się za ich przykładem smutkiem, że i dzisiaj wielu ludzi zamyka drzwi serca swojego przed P. Jezusem. Mówcie P. Jezusowi, że was boli bardzo, że nie wszyscy

Go kochają. Starajcie się też wynagrodzić P. Jezusowi to zapomnienie. W jaki sposób? Idźcie w czasie świąt Bożego Narodzenia do Komunii św. Będziecie miały kilka dni wolnych — czasu będzie dosyć. Poproście spowiednika, aby wam pozwolił iść kilka razy do Komunii św. To bardzo się podoba P. Jezusowi. Zapraszajcie też P. Jezusa, żeby duchowym sposobem, w Komunii duchownej, przyszedł do serca waszego i w niem zamieszkał. Powtórzcie i teraz za mną po cichu w duszach waszych: „O Jezu w Najśw. Sakr. utajony, wierzę w Ciebie, uwielbiam Cię, całem sercem kocham Cię! Żałuję za wszystkie grzechy moje! Pragnę Cię przyjąć do serca mego. Przyjdź, o Jezu najłaskawszy, przynajmniej duchowo do serca mego i zamieszkaj w niem na zawsze! Przyjdź, Panie Jesu, przyjdź!“ Zapraszajcie w ten sposób jak najczęściej P. Jezusa do serc waszych w Komunii duchownej, a sprawicie wielką radość P. Jezusowi.

Oto jedno zdarzenie i nauka ważna dla dziecka chrześcijańskiego.

A teraz drugie zdarzenie — zdarzenie także rzeczywiste a niedawne. Wieczór wigilijny... Na poddaszu leży schorowana biedna wdowa. Twarz wybladła mówi o ciężkich dniach nędzy i zgryzoty. Mąż — robotnik kolejowy bez dekretu pensyjnego umarł rok temu. Dwoje dzieci sieroty, dziewczynka 9 letnia i chłopiec nieco starszy siedzą obok łóżka chorej matki. Chłopczyk wyjął z torby kawałki chleba, które przez dzień wyżebrał i kładł na stole. Wyżebrane kawałki chleba były wszystkiem, czem matka ze swemi dziećmi na wilię uraczyć się miała. Smutno było matce, smutno małej sierotce. Przechodziła ulicą obok domów ludzi zamożniejszych. Widziała w oknach Boże drzewka, jarzące się od światła, obwieszone różnemi błyskotkami i łakociami. A ona nic nie miała oprócz suchego kawałka chleba, który brat jej wyżebrał. Przypomniała się jej piosenka, którą kiedyś śpiewała, nie rozumiejąc jej bolesnej treści: „Boże mój — Boże mój! Z wysokiego nieba — Nie daj nam doczekać — Sierocego chleba!“ (z pieśni ludowej.) Łatwo sobie wyobrazić, jak markotno było jej na sercu. Czyż Aniołek zapomniał drogi do nich? Przeszłego roku przecież był tu. Matka pocieszała dziecinę, że Aniołek ma dużo do czynienia, może nie zdąży dziś do nich. Słaba pociecha dla dziecka, jednak ma jeszcze nadzieję, że przecież Aniołek nie zapomni o nich.... Czas upływa — na poddaszu coraz zimniej — naraz mówi matka: już późno, zjedzcie trochę chleba, a potem idźcie spać. Znikła wszelka nadzieja. Z ócz spływają łzy wielkie jak groszek, przełknąć nie mogą suchego chleba. Głośnym płaczem wybucha dziewczynka — łkając mówi do matki przez łzy: „Mamo, czyż Aniołek całkiem o nas zapomniał?...“ Nie zapomniał... Puka ktoś do drzwi... wchodzi do-

pokoiku dziewczynka z pakiecikiem w ręku — a za nią służąca z koszykiem, w którym było ubranko i jedzenie. Przysłali ją rodzice chrześcijańscy. Przy wilii wspomnieli o biednej wdowie, posłali do niej swą córkę, aby była dla nich Aniołkiem. I nie było meże nigdzie większej radości, jak na tem poddaszu, do którego przyszedł Aniołek w postaci małego chrześcijańskiego dziewczęcia.

Dzieci moje kochane! Czyż i wy nie możecie być takimi Aniołami dla ubogich, dla chorych? Zastanówcie się w domu, rozglądnijcie się dobrze, a może serce wasze wskaże wam, czy nie mogłybyście komu dopomódz. Proście waszych rodziców kochanych, ażeby zamiast kupować dla was jakie rzeczy zbyteczne, sprawiły coś potrzebnego dla dzieci ubogich. Będzie to pięknem uczczeniem Bożej Dzieciny. P. Jezus przyjmie dar dany biednym, jakbyście to Jemu samemu dały. Oto dwa zdarzenia — rozważcie je dobrze. Czyńcie potem, co wam serce powie a będziecie miały prawdziwie „Wesołe święta“, których wam z całego serca życzę. Amen.

X. Z. Bielawski.

Egzorta na święto Imienia Jezus.

(2 niedziela po 3 Królach — dla klas wyższych szkół średnich).

Przepiękne święto obchodzimy dzisiaj — święto Imienia Jezus. Jakoby jakaś wspaniała gwiazda, tak świeci to święto w swoim majestacie nad wszystkiemi cudownemi wydarzeniami okresu Bożego Narodzenia. Swięto Imienia Jezus obchodzi Kościół także i 1. stycznia. Ponieważ jednak umysł wiernych nie może się wtenczas zająć wyłącznie tą uroczystością, bo w dniu tym należy koniecznie zwrócić jeszcze uwagę na pierwszy dzień Nowego Roku, przeto papież Innocenty XIII. dnia 29. listopada 1721 postanowił, ażeby prócz dnia 1. stycznia w całym świecie chrześcijańskim obchodzono uroczystość Imienia Jezus także w 2 niedzielę po 3 Królach.

Droga Młodzieży! Sądzę, że najlepiej odpowiem memu zadaniu, jeżeli w dniu poświęconym na uczczenie Najświętszego Imienia zastanowię się z wami w krótkości nad znaczeniem tego Imienia dla nas, następnie wskażę sposób, w jaki mamy czcić to Najświętsze Imię.

Imię Jezus — po hebrajsku Jozue — to Imię nieskończonego znaczenia dla wszystkich ludzi. Znaczy ono tyle, co „Bóg jest Zbawicielem“. Bóg Ojciec Przedwieczny wybrał to imię dla

swego Jednorodzonego Syna, nim Ten przyjął na siebie ludzką naturę. On ogłosił je przez Archanioła Najświętszej Maryi Pannie i św. Józefowi i usprawiedliwił jego wybór, mówiąc: „Albowiem on zbawi lud swój od grzechów ich“ (Mt. 1, 21).

Imię to Jezus — nie było obcem w Starym Zakonie. Imię to nosił ów szlachetny, bohaterski mąż, który naród żydowski po śmierci Mojżesza wprowadził do ziemi obiecanej. Imię Jezusa miał także syn Syracha, autor jednej z ksiąg mądrości St. Z., — imię Jezusa miał również i ów arcykapłan, który po powrocie żydów z niewoli babilońskiej pod wodzą Zorobabela wybudował na nowo świątynię w Jerozolimie i urządził napowrót służbę Bożą w świątyni. — Te trzy szlachetne postaci St. Z., ci trzej wielcy ludzie narodu żydowskiego, to żywe przepowiednie Chrystusa, to figury tego Boskiego Odkupiciela i Zbawiciela świata, który to imię „Jezus“ nosi w najwyższem i najprawdziwszem tego słowa znaczeniu. Chrystus Pan wybawił nietylko jeden lud z niewoli — jak Jozue starozakonny, ale On jest Wybawicielem i Oswobodzicielem wszystkich ludzi dobrej woli z największej i najcięższej niewoli, bo niewoli ducha, z niewoli szatana, z niewoli grzechu i namiętności.

Drugi Jezus starozakonny był autorem jednej z ksiąg mądrości — Chrystus Pan jest samą najwyższą, odwieczną Mądrością. Kto pojmie, zrozumie i przejmie się nauką Jezusa, temu prawdziwie otwarta jest droga najwyższej mądrości, ten nie postępuje w ciemnościach ducha, ale w jego światłości. Trzeci wreszcie Jezus starozakonny wybudował narodowi żydowskiemu świątynię jerozolimską. Chrystus Pan nie wybudował nam wprawdzie świątyni z drzewa i kamienia, ale wybudował nam duchowy dom Boży, — Kościół katolicki, którego fundamenta i mury rózciągają się po wszystkich krajach i ziemiach, a którego wieżyce prawdziwie pod niebiosa strzelają. A w tym domu duchowym, Bożym, — w tym Kościele katolickim — jest Jezus Chrystus sam najwyższym Arcykapłanem i Zwierzchnikiem, w tym domu Bożym ofiaruje się On ustawicznie swemu Ojcu Przedwiecznemu, jako ofiara za nasze grzechy, tutaj znajdują wszyscy ludzie dobrej woli pewne i jedynie prawdziwe rozwiązanie najwyższych zagadnień ludzkości i niepokojących wątpliwości serca ludzkiego, tutaj wreszcie znajdują oni czystość i świętość życia, spokój, szczęście prawdziwe i prawdziwą wolność dzieci Bożych, a na końcu swojego życia wieczne zbawienie nieśmiertelnej swojej duszy.

Tak Bóg odwieczny dał odwiecznemu Synowi imię, które jest — jak mówi Apostoł narodów — ponad wszystkie inne imiona, tak, że na to imię schylać się powinno wszelkie kolano mocy niebieskich, ziemskich i podziemnych (Rzym. 14, 11; Filip 2, 11). Jezus jest „pierwszym i ostatnim“, On jest „początkiem i końcem wszystkiego“, On jest alfą i omegą całego wszechświata, całej ludzkości, całego chrześcijaństwa, On jest „drogą i prawdą i ży-

ciem". Tem imieniem nazywał się często z upodobaniem Pan Jezus, tem imieniem kazał ludziom siebie nazywać. To imię położył Piłat na drzewie św. krzyża, gdy na nim zawisł Pan Jezus. — To imię Jezus było hasłem i programem szczytnego i wielkiego zadania Apostołów; w imię Jezusa głosili oni „dobrą nowinę", w imię Jezusa obsypywali ludzi łaskami i dobrodziejstwami, w imię Jezusa czynili cuda, w imię Jezusa i dla imienia Jezusa ponosili oni straszne męczarnie, narażali się na trudy i prześladowania, — w imię Jezusa i dla imienia Jezusa ponieśli oni wreszcie śmierć męczeńską. To imię było dla nich wszystkiem: siłą, otuchą, nadzieją, mocą i zwycięstwem. — W imię Jezusa i dla imienia Jezusa rozpoczynał Kościół swoją publiczną działalność między narodami i prowadzi ją do dnia dzisiejszego. I w obecnej dobie dla Kościoła katolickiego to imię również jest wszystkiem: jest siłą, otuchą, nadzieją, mocą, zwycięstwem. Wprawdzie Pismo św. podaje także inne imiona na oznaczenie Zbawiciela, ale żadne z nich nie oddaje tak dobrze całej istoty i znaczenia Osoby i działalności Chrystusa, jak to Imię najświętsze.

Wobec tego imienia nikt z ludzi nie może być obojętnym. O tem imieniu z całą prawdą możemy powiedzieć to, co powiedział starzec Symeon o Panu Jezusie, że ono jest położone na powstanie i na upadek wielu. Dla jednych, to imię jest wszystkiem: jest ich szczęściem i radością największą. Dla tego imienia są gotowi wszystko znieść, wszystko wycierpieć, za największą łaskę poczytują sobie cierpieć, być pogardzonym i umrzeć dla imienia Jezusa. Dla tych, to imię jest największą mocą i mądrością, dla innych znów, to imię jest kamieniem obrażenia, jest głupstwem i zgorszeniem. Niektórzy ludzie formalnie dyszą nienawiścią przeciwko Jezusowi, inni w tej nienawiści aż do szaleństwa się posuwają. Każdy występek jest im dobry, każde kłamstwo, potwarz i fałsz wydaje się im dozwolonym, byleby tylko choć w części przyczynił się do zohydzenia tego imienia, do wydarcia go z serc i dusz ludzkich, do usunięcia jego wpływu z życia jednostki, rodziny, społeczeństwa. Takimi zagorzałymi wrogami Jezusa byli faryzeusze, którzy przenieśli zbrodniarza Barabasza nad niewinnego Jezusa, którego śmierci domagali się od Piłata złowrogim okrzykiem: „Ukrzyżuj go, ukrzyżuj", — typem takich ludzi był później cesarz Julian Apostata, który w ostatnich latach swojego życia nikogo tak nie nienawidził, jak „Galilejczyka", — a w nowszych czasach tym samym duchem przejęli się: Voltaire, Nietsche i inni, którzy bezwstydnemi kłamstwami chcieli lub chcą usunąć to imię z widowni świata.

Młodzieży droga! Ty także nie byłaś, nie jesteś i nie będziesz obojętną dla imienia Jezusa. Nie byłaś, — bo jakże bardzo kochałaś to imię, gdy po raz pierwszy słyszałaś je z ust swojej matki czy swego księdza proboszcza czy katechety. Nie jesteś teraz i nie będziesz nigdy obojętną dla imienia Jezusa, o bo dla tego

imienia obojętnym być nie można. To imię i dla ciebie będzie albo szczęściem, mocą i mądrością najwyższą, albo — co nie daj Boże, głupstwem i zgorszeniem. I przyznam się wam, Drodzy Bracia, gdy się tak zastanawiam nieraz w ciszy samotnej nad waszem położeniem moralnem i religijnem, gdy się tak zastanawiam nad temi niebezpieczeństwami, jakie wam grożą ze strony szatana, złych ludzi, złych kolegów i waszych namiętności, gdy się tak przypatruję naszemu społeczeństwu inteligentnemu, w części swojej znacznej zepsutemu pod względem moralnym, indyferentnemu pod względem religijnym lub nawet wrogiemu Chrystusowi, gdy widzę i słyszę, jak wielu z naszej młodzieży karmi swego ducha najchętniej tem, co zabija miłość Bożą i czystość serca, co wydziera wiarę i cnotę z duszy, to przyznam się wam, że lęk mnie ogarnia i ból ściska mi serce na samą myśl tylko, że między naszą młodzieżą szkół średnich, — młodzieżą katolicką i polską, wychowują się już może zażarci wrogowie i nieprzyjaciele imienia Jezusa, którzy kiedyś, po opuszczeniu tej szkoły, niepomni swej pierwszej miłości, jaką mieli ku Jezusowi, niepomni tych chwil najszczęśliwszych, jakie im dała pierwsza Komunia św., niepomni tylu łask i dobrodziejstw, otrzymanych od Jezusa, niepomni strasznej przyszłości życia wiecznego, będą może wołali w odczytach, na wiecach, na komersach, w gazetach: „Precz z imieniem Jezusa, precz z Jego Kościołem, precz z Jego sługami! Nie chcemy służyć temu Jezusowi, nie chcemy, ażeby On panował nad nami“! I lęk i ból ściska wtenczas me serce na myśl tej strasznej zniewagi Jezusa, na myśl o smutnym stanie duchowym tych nieszczęśliwych i zaślepionych i w kornej modlitwie zwłaszcza we Mszy św. ja, niegodny sługa Jezusa a katecheta tej młodzieży, proszę Boga, ażeby się imię Jezusa święciło między ludźmi, ażeby Pan Bóg młodzież naszą zachował od takiego nieszczęścia i zaślepienia.

Najmilsi! My mamy szczęście przez Chrzest św. być uczniami i wyznawcami Jezusa, my mamy szczęście należeć do Jego Królestwa, Królestwa ducha, prawdy, sprawiedliwości i świętości, — do Kościoła katolickiego, — my mamy szczęście przez sakrament bierzmowania być Jego żołnierzami. A jeżeli tak, to musi być nam drogie i święte najdroższe i najświętsze, jak na to zasługuje, imię naszego Wodza i Króla najwyższego, imię Jezusa. Dla sławy tego imienia powinniśmy być gotowi wszystko uczynić, wszystko poświęcić. To imię święte i dla nas musi być hasłem i programem najwyższym naszego życia, według tego hasła i programu musimy układać i poprawiać wszystkie inne hasła nasze i programy, tak osobiste, jak społeczne i narodowe, to imię musi być alfą i omegą całego naszego życia, całej naszej działalności. To bowiem jest długiem naszym honorowym, naszą świętą powinnością. Nam nie wolno pozwolić innym znieważać tego imienia, nam nie wolno zaprzeć się tego imienia lub walczyć z Tym, który posiada to imię, jeżeli nie

chcemy być podłymi tchórzami i zdrajcami, jeżeli nie chcemy wtrącić się w przepaść potępienia wiecznego.

Bracia Najdrożsi! Prośmy dziś gorąco Pana Jezusa podczas Mszy św. wszyscy, jak tutaj jesteśmy zebrani, żeby imię Jego święciło się po całym świecie coraz bardziej, żeby całe społeczeństwo polskie, a przedewszystkiem, żeby młodzież polska, nigdy nie wstydziła się i nie zaparła tego imienia, żebyśmy wszyscy wytrwali w zasadach naszych i w życiu całem dochowali wierności temu imieniu Jezusa, żebyśmy byli gotowi wszystko raczej znieść, niż zaprzeć się tego imienia! Prośmy o to dziś gorąco Pana Jezusa i przyrzeknijmy Mu to z całą miłością naszego katolickiego i polskiego serca. Żyjmy odtąd tem imieniem. Oprzyjmy się o nie jako o silną opokę i z tem imieniem na ustach i w sercu idźmy w życie! Amen. *X. Dr. J. Lubelski.*

Wielka tajemnica[1].

Drodzy moi! Chcę z wami omówić pewną kwestyę, o której istnieniu wam zapewne jeszcze nie mówiono. Uchylę nieco zasłonę z tego przedmiotu, który z przyczyn słusznych ukrywano przed wami. Mniemam, że jesteście na tyle pojętni, by mnie zrozumieć, że jesteście młodzieńcami dorosłymi, którzy ze słów moich żadnej szkody nie poniosą.

1. Na początek opowiem wam starą — bardzo wdzięczną legendę.

Kilkaset lat przed narodzeniem Chrystusa istniała w Egipcie świątynia, którą otaczał nimb tajemniczości. Rok za rokiem tłumy pielgrzymów przychodziły, by oddać cześć umieszczonemu we wnętrzu świątyni cudownemu posągowi. Posąg ten był umieszczony w małej ciemnej kapliczce; w dzień i noc paliła się przed nim lampka oliwna. Gęste zasłony okrywały posąg. Wolno było pielgrzymom składać ofiary, okazywać swą cześć bóstwu, lecz oblicza jego oglądać nie było im wolno.

Przy tej świątyni znajdowała się szkoła, w której kształcono młodych ludzi na kapłanów tego bóstwa. Młodzieńców, którzy okazywali zdolności w tym kierunku, wychowywano tu na kapłanów. I dla nich tajemniczy posąg pozostawał zakryty; dopiero,

[1]) Podajemy tu dwie katechezy X. Schwab'a dla szkół uzupełniających (por. Zeszyt 11 Mies. Kat. i Wych. str. 521—525) w przekładzie.

gdy otrzymali uroczyste święcenia kapłańskie, uchylano przed nimi tajemnicę.

Między innymi wychowywał się w tej szkole pewien młodzieniec, który płonął cały ciekawością oglądania twarzy bóstwa.

Przekonawszy się wnet, że prośbami nic nie uzyska — użył podstępu.

Pewnego wieczora skrył się w kaplicy i pozostał tam tak długo, aż wszyscy powychodzili i kaplicę zamknięto. Gdy stróż się oddalił — zbliża się ów młodzieniec do tego zagadkowego posągu. Pełen niepewności spogląda na zasłonięty posąg — serce bije mu młotem. Czyż ma się odważyć? Często ostrzegano go, że straszną jest zbrodnią zbliżać się do posągu osobie nie poświęconej. Lecz ciekawość przemogła. Usuwa zasłony — jedną po drugiej, kontury obrazu coraz to wyraźniej występują. Już tylko ostatnia zasłona dzieli go od tajemnicy. Jeszcze jeden chwyt...

Było to jego zgubą! Posąg zaczął się świecić i żarzyć. — Młodzieniec padł martwy na ziemię. Czy śmierć spowodowała jakaś ukryta maszynerya, którą wskutek nieostrożności niebacznie w ruch puścił, czy też strach, jaki go musiał ogarnąć — dość, że stróż znalazł go rano nieżywego przed odkrytym posągiem.

2. Po co wam tę legendę opowiedziałem? Czy dla rozrywki? Czy nie przeczuwacie czasem jakiejś wielkiej tajemnicy, o której dowiadują się młodzieńcy w waszych latach? Powiedz mi, ile lat liczysz? — 14, 15, 16 rok życia! A więc za kilka lat wdziejesz mundur żołnierski — po dwuletniej lub trzyletniej służbie zrzucisz go znowu.

Stanie przed tobą pytanie bardzo ważne: Czy masz samotny przejść przez życie — czy też poszukać sobie towarzyszki? — Ożenić się — czy też lepiej nie ożenić się?!

Dlaczegoż to pytanie tak ważne?

Otóż najpierw, wstępując w związki małżeńskie, zrzeka się młodzieniec niejako części swej wolności; powtóre nie może już odtąd wydawać pieniędzy na co jemu się podoba; wreszcie musi się starać o żonę i dzieci. Dobrze jeszcze jeżeli, wybór zrobił szczęśliwy! Lecz jeżeli za żonę dostał Ksantypę, — to piekło zgotował sobie na całe życie. Jeżeli zaś mimo to tyle ludzi wstępuje w związki małżeńskie, muszą związki te mieć swe dodatnie strony. Ludzie ci, żeniąc się, przyjmują na swe barki obowiązki wielkie i wielką odpowiedzialność. Jak sobie to wytłumaczyć?

3. Niejeden już chłopczyk zapytał się: Mamo! A kto to przyniósł tą małą siostrzyczkę? Odpowiedź: Wszystko od Boga pochodzi, więc też siostrzyczkę dał Bóg. To trafia mu do przekonania; lecz bynajmniej go nie zadowala, więc pyta się dalej

i dalej; — dopiero gdy mama opowie mu bajkę o bocianie, ciekawość jego będzie zaspokojona.

Lecz z maleńkiego Janeczka wyrósł Janek. Teraz nie można mu już bajeczek opowiadać. Zaczyna już myśleć — zastanawiać się — nie wierzy już w historyę o bocianie i t. p. bajeczki. Szuka więc wątku, po którymby doszedł do tajemnicy, tak starannie przed nim ukrywanej — co tkwi po za tem. — A gdy w dodatku posłyszy o weselu — o małżeństwie, ciekawość jego nie ma granic.

A ciekawość ta chodzi ścieżkami krętemi i brudnemi. Więc zbliża się taki chłopiec do starszych kolegów. Zabawnie to wygląda, gdy się widzi takie dobrane towarzystwo, w jakimś ukrytym kącie zebrane. Jakiś wyrostek stoi w środku — warto widzieć jego miny. „Wiem coś ciekawego, pikantnego; — gdybym to tak opowiedział, ha, ha, ha!“ Śmieje się na całe gardło. Obecni garną się do niego i słuchają jego bredni i — wierzą w największe głupstwa.

O, to nie jest droga dobra — po niej nie dojdziecie do tajemnicy! Cóż wie taki łobuz? Któż jemu o tych rzeczach mówił? Najświętszą rzecz potrafi taki zbezcześcić brudnym swym językiem. Przypadkowo zdarzyło mi się być świadkiem następującego zdarzenia. W warsztacie siedzi dwóch uczniów; jeden z nich kupił sobie w jakiejś podrzędnej księgarni brudny świstek i pokazuje go drugiemu. Mówi: „Niech Bóg broni, żeby ojciec się o tem dowiedział!“ Wymowny tytuł stał na pierwszej kartce: „Tajemnice miłości“. Ordynarne obrazki zdobiły książeczkę. Niemądry ten chłopak nosił to piśmidło przy sobie, chował je w najbezpieczniejszem miejscu i czytał chciwemi oczyma. Piękna zaiste droga do wzniosłej tajemnicy! Czy wiecie, co to jest wykolejony student? Taki sobie leń przepadnie w IV. lub V. klasie gimnazyalnej. Pracować mu się nie chce — kilka lat studyował!.. Urzędnikiem nie zostanie — na to nie ma głowy. Co robić? Będzie pisał. I zabiera się do pisania takich małych zeszytków. Co napisze — to mniejsza, byle było i byle ludziom się podobało. Wymyśli coś strasznego grozą przejmującego, doda jedno, drugie świństwo — i dzieło gotowe. Ludzie kupują, a on zaciera zadowolony ręce, zbiera brudne zyski.

Może i między wami są tacy — co podobne rzeczy kupowali?

4. Moi drodzy! Przecież macie inną, czystszą a krótszą drogę, aby się dowiedzieć prawdy!

Macie przecież ojca, co was kocha. On przeszedł wszystkie wątpliwości, co i was trapią. Zwróćcie się do niego z zupełnem zaufaniem, a on wam rzeczy te tak wytłumaczy, że żadnej szkody nie poniesiecie!

Gdyby ów lekkomyślny młodzieniec z Sais udał się był do swego przełożonego i przedłożył mu swą prośbę: „Ja muszę wiedzieć, co się po za tą tajemniczą zasłoną kryje! Ty możesz i musisz mi to powiedzieć, inaczej użyję podstępu". Przełożony nie sfukałby go ani nie zbył jakąś bajeczką. Zaprowadziłby go w stosownym czasie do owego obrazu i odsłoniłby mu tajemnicę. A jeżeli nie, to przynajmniej uspokoiłby go, przekonał, że jego żądanie jest niewykonalne, a młodzieniec byłby zaniechał swego zbrodniczego zamiaru i nie zginął marnie w kwiecie wieku!

Przypominam sobie małego, 10-letniego chłopczyka, którego zachowanie w podziw mnie wprawiło. Przeniósł się do innej szkoły, — koledzy nowi byli mu nieznani. Lecz już na drugi dzień zbliża się do niego dwóch koleżków, o twarzy bezwstydnej, ciągną go w ukryty zakątek. „Powiemy ci coś ciekawego, pokażemy coś pięknego!" Z pogardą odpowiada im nasz chłopak: „Co wy mi chcecie powiedzieć, to wiem już dawno od ojca mego".

Jeżeli i wy — w stosownym czasie udacie się do ojca i z całem zaufaniem i otwartością powiecie: „Ojcze — koledzy moi mówią tak a tak — tu i tam coś czytałem. Niech mi kochany ojciec powie: ile w tem prawdy?" Ojciec nie sfuka was, ani nie zbędzie jakąś bajeczką. Objaśni w sposób przyzwoity, poważny, a żadnej szkody z tego, czegoś się dowiedział, nie poniesiesz.

5. Ojca zapytać możesz! Ojca się nie bój. W szkole wykłada nauczyciel, jak wygladają nasiona i kwiecie drzew i roślin. Mówi, jak się rodzą ptaki i zwierzęta. Przecież to są rzeczy godziwe.

Dziwna rzecz! A któż to stworzył Ewę i przyprowadził ją do Adama? Któż im powiedział: „Roście i mnożcie się i napełniajcie ziemię!" Czyż to nie Bóg sam? Kto wyniósł małżeństwo do godności sakramentu? Kto nakazał, by narzeczeni jawili się w kościele, by zawrzeć tam przed kapłanem święty związek małżeński? Czyż tego nie nakazał Chrystus Pan, sama Czystość i Świętość? Czyż może być rzeczą podłą to, co Bóg polecił, a Chrystus nakazał?

Młodzieńcy! Rzecz sama w sobie jest niezmiernie święta i wzniosła i poważna. Jest coś głębokiego i tajemniczego w obowiązkach stanu małżeńskiego. O świętej, wielkiej tąjemnicy nie mówi się z lekceważeniem. Czyż rozmawiałbyś z żydem o Najśw. Sakramencie, by ten mógł całą swą pogardę i szyderstwo okazać Kościołowi św.? Tak postąpiłby sobie Judasz!

Przypominam sobie zawsze z przyjemnością pewnego młodzieńca, który przypadkiem zabłąkał się do jakiegoś stowarzysze-

nia protestanckiego. Trafił właśnie na jakiś odczyt — przysłuchiwał się pilnie — lecz jak tylko prelegent zaczął odzywać się wrogo o Kościele katolickim, drwić sobie z Najśw. Sakramentu — wstał, nie mogąc ukryć swego gwałtownego oburzenia — z protestem opuścił salę. Nie mógł pozwolić, by w jego obecności profanowano najświętsze skarby wiary katolickiej.

I małżeństwo jest wielką świętością. Żaden uczony nie doszedł do zrozumienia, w jaki sposób z nikłego nasienia wyrasta następnie olbrzymie drzewo. Tak samo nie zdołamy pojąć, w jaki sposób istota ludzka z pierwszego plennika rozwija się i wzrasta.

Jakże niedorzeczne muszą być wszelkie dyskusye chłopców o tych rzeczach. Co Bóg postanowił, to jest dobre i święte. Sposób, w jaki ci chłopcy się wyrażają, jest grzeszny. Radźcie się spowiednika, lekarza, ojca — tylko nie mówcie o tych grzechach z niedorostkami.

Kochani moi! Otwarcie z wami dziś rozmawiałem — otwarcie przedstawiłem wam bardzo poważne kwestye. Spodziewam się, że nie zawiodę się w swych oczekiwaniach. Wszelka płaskość, podłota niech będzie zdala od was!

Alkohol uwodziciel.

Znacie bajkę o żmii, która leżała zmarzła w trawie; znalazł ją litościwy wieśniak, zabrał ze sobą, ogrzał — przywrócił do życia; — za to żmija śmiertelnem ukąszeniem pozbawiła go życia.

Jest żmija jadowita, którą bardzo wielu młodych ludzi starannie pielęgnuje, by później zginąć od jej śmiertelnego ukąszenia. Posłuchajmy...

1. Między opowiadaniami ludowemi znanego rosyjskiego pisarza Tołstoja znajdujemy następującą opowieść: Jakiś ubogi wieśniak poszedł w pole orać; ubogim był — nie stać go było na śniadanie — więc zabrał ze sobą kromkę chleba. Gdy przyszedł na pole — zzuł kaftan i owinął nim kromkę. Po jakimś czasie zachciało mu się jeść, głód mu zaczął dokuczać, wyprzągł konia, by się popasł na trawie, sam zaś poszedł do drzewa, gdzie był złożył kaftan i chleb.

Lecz ku swemu zdziwieniu przekonuje się, iż chleba nie ma — szuka tu i tam — nigdzie ani znaku. Nie może wyjść z podziwu.

Ciekawa rzecz — nikogo nie zauważyłem — a przecież musiał mi ktoś chleb ukraść.

I tak też było rzeczywiście! Chleb ukradł dyabeł, który teraz siedział za drzewem, czekając, aż wieśniak zacznie wymyślać po swojemu i w przekleństwie wzywać szatana.

Przykro było wieśniakowi, że mu ukradziono chleb — pocieszał się jednak, jak mógł: Cóż — z głodu nie umrę — a ten, kto mi chleb wziął — znać bardziej go potrzebował niż ja — niechże mu wyjdzie na zdrowie! — Podszedł ku studni, napił się, wody, zaprzągł konia i zaczął dalej orać.

Dyabeł tymczasem wściekał się, że nie udało się dostać chłopa w swe szpony — do grzechu go skłonić. Poleciał do najstarszego z szatanów i przedstawił mu całą rzecz. Najstarszy popadł w straszny gniew: zaczął mu wymyślać — groził, że go w wodzie święconej wykąpie. — A wiadomo, jaki respekt ma dyabeł przed święconą wodą.

Wyleciał więc znowu mały dyabełek na ziemię, zastanawiał się, jakby to złapać wieśniaka w swe sidła. Użył chytrego podstępu. Udał uczciwego człowieka i najął się u owego biednego chłopa za parobka. Nauczył wieśniaka doskonale gospodarzyć. W gorące, suche lato zasiał zboże na mokradłach. U sąsiadów słońce wypaliło zboże, u niego żyto jak bór. Na drugi rok obsiał robotnik wzgórza. Lato było mokre. U innych zboże porosło, u ubogiego chłopka żyta w bród. Nie wiedział nawet, co z ziarnem robić.

I nauczył ów robotnik chłopa ciągnąć okowitę ze zboża — wieśniak zaczął pić — naprzód sam — a potem dawał pić sąsiadom.

Z tryumfem idzie dyablik do najstarszego dyabła i chlubi się, że chłopa podszedł. Starszy dyabeł chce się przekonać na własne oczy, udaje się do chaty owego wieśniaka. I oto widzi bogatszych tej wsi, zebranych u naszego wieśniaka, który ich wódką ugaszcza — żona podaje wódkę. Nieszczęście chciało, że się potknęła i wódkę wylała. Mąż zwymyślał ją ostatnimi wyrazami. Dyabełek trącił łokciem najstarszego: „Teraz nie mówi już „na zdrowie“! odzywa się do niego. Wtem nadchodzi jakiś biedny robotnik, któryby chętnie wypił kieliszek. Lecz gospodarz odmruknął, że swej wódki nie ma dla każdego przybłędy. I to także podobało się najstarszemu z dyabłów. Dyabełek zaś przechwalał się: „Poczekaj — zobaczysz jeszcze coś lepszego“.

Gospodarz pił — pili także i goście. Mówili sobie komplementa, wzajemnie się chwalili, rozmowa szła gładko. „Niech tylko drugą szklankę wypiją“ odezwał się mały dyabełek do swego przełożonego „dotychczas są to lisy chytre i przebiegłe, które się wzajemnie chcą oszukiwać — niezadługo zamienią się w drapieżne wilki“.

Wieśniacy piją drugą szklankę — rozmowa staje się głośniejszą i ordynarniejszą. — Zaczynają się kłócić — padają słowa ostre, — aż wreszcie bijatyka, która kończy się sińcami — oczy podbite — nosy skaleczone. — Podobało się to wszystko najstarszemu z dyabłów. „Dobrze, bardzo dobrze", rzekł. „Poczekaj, odrzekł mu dyabełek, gdy wypiją trzecią szklankę, zamienią się w nieczyste świnie".

Wieśniacy piją trzecią szklankę; rozum zaczyna im się w głowie mącić, z czupryn zaczyna się kurzyć, jeden drugiego nie rozumie.

Zaczynają się rozchodzić — pojedynczo, po dwóch, po trzech — wszyscy wywracają się na ulicy — gospodarz chce im towarzyszyć, idzie z nimi, i — wpada twarzą do kałuży — zbryzgał się — osmarował z góry na dół — i oto leży jak dzika świnia i rechocze.

To jeszcze więcej podobało się najstarszemu z dyabłów: — „A no", rzekł „piękny napój zgotowałeś, Zapewnie wziąłeś nasamprzód krwi lisiej, chytrym stał się ten wieśniak jak lis; — następnie musiałeś dodać krwi wilczej — gdyż złośliwość zaczęła go opanowywać — aż wreszcie domieszałeś krwi świńskiej — a cały zamienił się w świnię".

„O nie, odrzekł mu na to dyabełek, tak nie zrobiłem. — Krew zwierzęca zawsze była we krwi ludzkiej. Nakłoniłem go, by pił wódkę. Gdy z darów Bożych zaczął palić wódkę, odezwała się w nim krew lisa, wilka i świni. Jak długo pić będzie wódkę, tak długo zwierzęciem zostanie!"

Najstarszy z dyabłów pochwalił małego dyabełka i obsypał go godnościami.

Omówimy bliżej tę opowieść! Dlaczego dyabeł zabrał kromkę chleba? Czy osiągnął swój zamiar? — Jakich się środków chwycił, by wieśniaka do grzechu doprowadzić? — Jakie skutki spowodował alkohol? Dlaczego sądził najstarszy z dyabłów, że wódka składa się z krwi lisiej, wilczej i świńskiej? Dlaczego mógł ów mały dyabełek powiedzieć, że człowiek zawsze zamienia się w zwierzę — ilekroć pije wódkę? Czyż odgadniecie dlaczego Tołstoj taką powiastkę napisał dla swych wieśniaków? Dlaczego wam ją opowiedziałem na godzinie religii?

Zmienię teraz nieco bajkę Tołstoja — zobaczycie zaraz dlaczego.

Zwołano walne zgromadzenie w państwie szatana — wszystkie dyabły musiały zdawać rachunek z swej działalności na ziemi. Lucyfer okazywał wielkie ukontentowanie. Tylko jeden z dyabełków wzniecił jego gniew: — „Trzy lata chodzisz za tym młodym człowiekiem, a on żadnego ciężkiego grzechu się nie do-

puścił! Zabieraj się stąd — i nie pokazuj mi się, dopóki on nie zmieni się w świnię!“

Dyabełek zawstydzony wyleciał na ziemię. I oto widzi, jak powierzony jego opiece człowiek wychodzi z warsztatu — wesoło brząka pieniądzmi, gdyż to była sobota — i odebrał wypłatę. Zaraz skoczył mu za ucho i zaczął mu szeptać: „Teraz muszę sobie trochę pofolgować! — Do licha! Cały tydzień pracować — teraz muszę sobie trochę użyć!“ — Tak szeptał mu do ucha. Młodzieniec namyśla się, — nie wie, co ze sobą zrobić — już chciał iść do domu, gdy w tem usłyszał w poblizkim szynku muzykę; — echo wesołej śpiewki wpada mu do ucha — i pociąga w stronę szynku. — Mały dyabełek cieszy się nadzieją blizkiego zwycięstwa, — młodzieniec wstępuje do karczmy. Świeżo przybyłego obstąpiła zgraja pijaków — podsuwając mu kieliszek wódki, zachęcając by pił — mowa rozbrzmiewała coraz głośniejsza. Jakiś dowcipniś śpiewał wesołe piosnki, reszta wrzeszczała i bisowała. — Lecz młody nasz przyjaciel nie był zadowolony z tego towarzystwa — nie było mu swojsko między nimi. — Piwo szło mu do głowy — otoczenie roznamiętniało, śpiewało coraz to ordynarniejsze piosenki. Młodzieniec nasz chętnie by poszedł do domu — lecz bał się narazić siebie na śmiech. Został! — Godzina za godziną upływały. — Nastała noc — powoli opróżniała się izba — zebrał się i poszedł. — Lecz głowa strasznie mu ciężyła — oczy zamglone, zataczał się na drodze. Wtem chwyta go jakaś ręka z tyłu za ramię. — Idzie za nim jakaś postać, — wstrzymując go, szeptała do ucha słowa miękkie — ciche — namiętne. Nie rozumiał całkiem, co do niego mówiono — lecz jak błyskawica strzeliło mu do głowy, że grozi mu jakieś wielkie i straszne niebezpieczeństwo — przypominał sobie wszystkie nauki i przestrogi rodziców i nauczycieli — starał się uwolnić od tej zmory — lecz był zbyt słabym, dawał się powodować i szedł...

Już świtało — i znowu widzimy go na ulicy — lecz... stracił niewinność... On sam zgnębiony — niepewnym krokiem jak cień ślizga się przy parkanie — myśli jego ulatują w wiośniane dni dzieciństwa — przypomina sobie uroczystą I. Komunię św. — jak błogie szczęście napawało czyste i nieskalane jego serce! — Jakaż straszliwa zmiana! — A kto był tym zbrodniarzem, który go do takiego poniżenia doprowadził? — Wola jego była osłabiona, rozum przyćmiony — gdyby był trzeźwym, nigdy by czegoś podobnego nie był zrobił.

Lecz szatan tryumfował — przed Lucyferem przechwalał się z swej pracy, doprowadziwszy młodzieńca do grzechu — został za to hojnie wynagrodzony.

Tołstoj opowiada nam bajeczkę. — Ale czyż można nazwać bajką, iż młody ów człowiek oddał się rozpuście pod wpływem

nadmiernego użycia alkoholu? — W jakim celu zmieniłem tę bajeczkę? — Gdy mówię, że nadmierne użycie alkoholu sprowadza rozpustę — czyż nie mam słuszności?... Jeżeli się młodzież ostrzega przed zgubnymi skutkami alkoholu, — dlaczego się to robi?...

3. Koło roku 1830 przybył do Hamburga pewien kupiec młody, nazwiskiem Karol Brandes. Znalazł tam jakiegoś krewnego swego, który miał własny interes i u niego znalazł zajęcie. Już pierwszej niedzieli zabrał go ze sobą pryncypał, by obejrzał sobie miasto. — Niezwyczajna to była przechadzka — posłuchajmy co o niej mówi sam Brandes. Cały szereg domów zabawy — domów najgorszego gatunku otacza kołem bramę główną Altony. Szalony wrzask, zmieszany z hałaśliwą muzyką, dobywa się z ich wnętrza. — Miejsca te poświęcone szkaradnemu wyuzdaniu zmysłowemu, są zawsze po brzegi wypełnione — a ludzie wchodzą i wychodzą tu z taką swobodą, tak bez żadnego wstydu, jak gdyby oddawali się rozrywkom najniewinniejszym. Przypatrywaliśmy się temu jakiś czas — gdy stryj mój chwycił mnie za rękę i poprowadził ku memu największemu zdziwieniu do jednego z tych domów.

Potworne zdziczenie moralne tych biednych istot, które oddają się haniebnemu rzemiosłu, okazuje się zaraz na pierwsze wejrzenie, gdy bezczelnie przypatrują się nowoprzybyłemu. Stryj oprowadzał mnie po zapchanej sali tam i napowrót, wreszcie wyszliśmy, by wstąpić jeszcze do jednego, drugiego i trzeciego domu tego samego rodzaju.

Wszystkie moje prośby nic nie pomagały.

„To ci wystarczy — a teraz obejrzymy odwrotną stronę medalu“. — Udaliśmy się z powrotem do miasta i wstąpiliśmy do szpitala. — Straszny widok uderzył nasz wzrok. — Jakieś cienie posuwały się wzdłuż szeregu łóżek — zaledwie do ludzi podobne — do tego przyprowadziła ich rozpusta! — — Był to widok, który niezatarte zrobił na mnie wrażenie. Do szpiku kości przejęty, opuściłem dom nędzy. Późno wieczorem przyszliśmy do domu. — „Teraz możesz chodzić po mieście, gdzie ci się podoba, rzekł do mnie stryj, lecz spodziewam się, że kroki swe będziesz kierował tylko tam, gdzie dobro i honor w pełnym blasku jaśnieje!“

Dokądże to zaprowadził ów stryj swego siostrzeńca? Jaki miał w tem cel? — Czyż osiągnął go? — I znów powtarza się ta sama historya — nasamprzód — a zaraz potem rozpusta! — Czyżcie się już zastanawiali nad tem, dlaczego te dwa występki — pijaństwo i rozpusta, tak blizko siebie stoją? — Dlaczego pijak zawsze hołduje rozpuście? — Nie trudno to zrozumieć.

Wszystkie napoje alkoholiczne działają na mózg. — W centrach mózgowych łączą się włókna nerwowe, z któremi wola bez-

pośrednio się łączy i któremi się posługuje. — Gazy, wytwarzające się z alkoholu, działają zabójczo, osłabiając w wysokim stopniu nerwy czuciowe i ruchowe. W takim stanie będąc, człowiek niezdolny do posługiwania się nimi. — To też, gdy pokusa zacznie nacierać — nie jest on zdolny do rozumowania, nie potrafi ocenić niebezpieczeństwa i upada.

Słyszeliście może o mgłach gęstych, które unoszą się w pewnych odstępach czasu nad Londynem. Niespodziewanie — niekiedy w biały dzień nastaje zupełna ciemność. — Na 5 metrów nie rozróżnisz przedmiotu! Wszelki ruch wstrzymany. — Skądże ta mgła?! — W Londynie — w olbrzymiem tem mieście spala się codziennie bajeczna ilość węgla kamiennego. — Drobniutkie pyłki unoszone dymem, ulatniają się przez komin i zbierają się wysoko w powietrzu. — Gdy się tego pyłku uzbiera dostateczna ilość — tak, że ciężar jego przewyższa ciężar gatunkowy powietrza, natenczas spada chmurami z powrotem do miasta, — uniemożliwiając na jakiś czas wszelki ruch.

Taką mgłą, ale bez porównania groźniejszą są dla mózgu gazy alkoholowe. Działanie ich jest dla mózgu zabójcze — pozbawia człowieka panowania nad sobą — nie pozwala działać rozumowi i woli.

4. Co z tego wynika?

Znam chłopczyka, który przy jakiejś uroczystości postanowił sobie nigdy nie używać żadnych napojów alkoholowych. Przez pięć lat miałem czas i sposobność przekonać się, że swego postanowienia nie złamał — był to syn szynkarza! Być może, iż go już nigdy nie zobaczę — lecz przekonany jestem, że co sobie postanowił — tego i dotrzyma.

W każdym kraju istnieją stowarzyszenia — bractwa, mające na celu zupełne powstrzymywanie się od wszelkich alkoholowych napojów — t. zw. bractwa św. wstrzemięźliwości. Stowarzyszenia te liczą tysiące członków. Czy znajdzie się ktoś między wami, któryby zapisał się do jednego z tych stowarzyszeń — tego nie mogę wiedzieć. — Lecz tylko tyle wam powiem: Łatwiej nie pić nigdy piwa lub innego napoju niż zawsze być trzeźwym. Róbcie zresztą, co chcecie. To tylko pragnąłbym gorącem żelazem wypalić wam w sercach, żebyście tego nigdy nie zapomnieli: Alkohol i nieczystość chodzą zawsze razem. Nie znajdziesz młodego człowieka, któryby pił, a nie oddawał się zarazem rozpuście. A z drugiej strony: młodzieniec, który nigdy nie pije, nie łatwo zgrzeszy przeciwko czystości.

Zapiszcie sobie: Do rozpusty prowadzi prawie zawsze nadmierne używanie napojów alkoholowych. Alkohol ubezwładnia nerwy, którymi po-

sługuje się rozum i wola, skutkiem tego człowiek zostaje beznadziejnie wydany na pastwę pokusy i uwiedzenia.

Coraz więcej poznają ludzie szkodliwy wpływ alkoholu na duszę i ciało. Wszędzie organizują się stowarzyszenia, których członkowie obowiązują się do zupełnej abstynencyi od wszelkich napojów alkoholowych.

Nowe książki.

Dr. Kazimierz Krotoski. **Historya powszechna. Tom II. Historya średniowieczna.** Poznań 1912. Cena egz. opr. koron 2·60, mk. 2·20, rub. 1·10.

Z prawdziwą radością donosimy o pojawieniu się tego podręcznika, który był niewątpliwie bardzo potrzebny. Dotąd bowiem musiała się młodzież nasza uczyć historyi z książek, którym ze stanowiska katolickiego a zarazem i pod względem dydaktycznym niejedno trzeba było zarzucić. Po usunięciu Pütza i Gindely'ego wprowadzono wszędzie do klas wyższych szkół średnich podręcznik prof. Zakrzewskiego, który jest lepszy daleko od tamtych, ale dla uczniów za trudny; profesor bowiem uniwersytetu nie mógł zniżyć się do poziomu młodzieży szkół średnich; — a nadto nie może nas zadowolić w kilku miejscach jego przedstawienie rzeczy. I tak nie przytacza on właściwego powodu, któremu Biskupi rzymscy zawdzięczają swoje naczelne stanowiska w świecie chrześcijańskim a w ustępie p. n. „Wzrost znaczenia papieżów“ (str. 8—9 tomu II w wyd. 5. z r. 1908) mówi tylko o pewnych okolicznościach, które przyczyniły się do tego wzrostu, a w szczególności o pracach i zabiegach św. Grzegorza I. Opowiadając o krucyacie przeciw Albigensom (str. 97), mówi o ich „prześladowaniu“, nie wspomina zaś o tem, że była to sekta, grożąca zagładą całemu porządkowi społecznemu, że palono kościoły, gwałcono niewiasty, że był to, jak mówi Hergenröther („Handbuch der allgemeinen Kirchengeschichte“, 1879, str. 941), najniebezpieczniejszy rokosz przeciw Kościołowi i państwu.

Po dyr. Krotoskim można było spodziewać się z góry, że w podręczniku swoim nie zejdzie nigdzie ze stanowiska katolickiego i że z zadania swego wywiąże się jak najlepiej. Kierował on się zasadami następującemi:

1) Intencyą jego było przedewszystkiem przedstawić prawdę, o ile jest przystępną dla uczniów lub uczennic licealnych czy se-

minaryjnych i przez nią wpoić przekonanie, że zasady chrześcijańskiego prawa i obyczajów są fundamentem pomyślnego rozwoju narodów jak i jednostek.

2) Dzieje narodu ojczystego i kraju rodzinnego są w najszerszych rozmiarach uwzględnione zwłaszcza w czasach najnowszych.

3) Uwzględnia on — o ile tylko możliwe — dzieje wewnętrzne.

4) Unika wszelkiego balastu cyfr i nazwisk, natomiast posługuje się często cyframi statystycznemi dla illustracyi wypadków.

5) Podręcznik jest opracowany nie tylko na podstawie najnowszych badań, ale równocześnie na podstawie podręczników europejskich, nie tylko wszystkich polskich i austryackich, ale także i pruskich, szwajcarskich, francuskich, angielskich, włoskich, szwedzkich, duńskich, czeskich, słoweńskich i serbskich.

6) Ze względu na najnowsze wymogi dydaktyczne uwzględnił autor nie tylko illustracye pomników sztuki i osób historycznych, ale także w licznej mierze cytaty źródłowe w tekście oraz obrazki źródłowe, odnoszące się do najważniejszych momentów umieścił na końcu w osobnych dodatkach.

7) Materyał podaje w formie przejrzystej, przez wprowadzenie dyspozycyi uwidocznionej w nagłówkach epok, rozdziałów i ustępów.

8) Przez podanie najważniejszych chronologicznych dat i streszczeń, przy końcu każdej epoki, ułatwia uczącym metodyczne postępowanie, zniewalając ich do tych systematycznych powtórek.

Poglądy autora na najważniejsze momenty dziejów średniowiecznych poznać można najlepiej z ustępów p. n. „Znaczenie Kościoła w czasach najazdów germańskich“. Biskupi rzymscy (autor stwierdza, że ich „od początku chrześcijaństwa uważano za zwierzchników Kościoła jako następców św. Piotra“). Walka o niepodległość Kościoła. Walki z Albigensami. Walka Fryderyka II. z Lombardami oraz z papiestwem (str. 9, 10, 66—72, 102—104, 107—108). Oryginalnie skonstruowane i oparte na najnowszych badaniach są ustępy o Słowianach, o Grzegorzu VII i o Husie. Opowiadanie autora jest pełne życia i zastosowane do poziomu umysłowego uczniów. Na końcu dodane są „Obrazki dziejowe ze źródeł współczesnych“ i 24 ilustracyi (których niema wcale w podręczniku Zakrzewskiego).

Wobec tego możnaby się spodziewać, że książka Dra Krotoskiego będzie wnet wprowadzona do wszystkich naszych szkół średnich, — gdyby nie jeden szkopuł: oto, jak się dowiadujemy, recenzent urzędowy zarzucił autorowi, że „podaje niepotrzebnie

apologię (!) Kościoła". Obawiamy się, że znajdzie się niejeden profesor w Galicyi, który podzielać będzie to zdanie i dlatego będzie dowodził, że podręcznik Zakrzewskiego jest lepszy!

X. A. P.

Das Studium und die Privatlektüre. Siebzehn Konferenzen den Zöglingen des Bischöflichen Konviktes zu Luxemburg gehalten von Johann Bernhard Krier. Sechste, verbesserte und vermehrte Auflage herausgegeben von Dr. Meinrad Vogelbacher Präfekt am Erzbisch. Gymnasialkonvikt in Freiburg im Breisgau. 12° (XIV+371). Freiburg i. Br. Herder. Cena egz. brosz. 2 K 88 hl.

Książka niezbyt wielka, jednak bardzo pożyteczna tak dla uczącej się młodzieży, jak też dla jej wychowawców. Pierwsza część str. 1—181. zajmuje się nauką dla ucznia ściśle obowiązkową, zaleca mu w gorących słowach rzetelną pracę i korzyści z nauki płynące, przedstawia zgubne skutki lenistwa i wprowadza w metodykę uczenia się. Przytem autor nie zapomina o zdrowiu ucznia fizycznem, o jego godziwych rozrywkach.

Lekturą prywatną, t. j. nie ściśle obowiązkowem kształceniem się przez czytanie pożytecznych dzieł zajmuje się część druga str. 182—371. Podobnie jak w pierwszej części, tak i tu daje szereg motywów zachęcających do pilnego czytania dzieł dobrych. Posługuje się tak pobudkami czysto naturalnemi, jako też i nadprzyrodzonemi, płynącemi z wiary. Mile uderza to zwracanie się do katolickiego poczucia czytelnika. — Za rzecz bardzo dobrą uważam zwięzłe zestawienie reguł Indeksu książek zakazanych, umotywowanie postępowania Kościoła w tej kwestyi i odpowiedź na dotyczące zarzuty. W trzecim rozdziale drugiej części (Jakie książki powinniśmy czytać?) stara się autor dać zestawienie lektury dobrej katolickiej tak duchownej jak i świeckiej. Uwzględnienia literatury polskiej w książce, przeznaczonej przedewszystkiem dla studentów niemieckich, nie można było naturalnie oczekiwać. Metodyka lektury prywatnej i wskazówki, dotyczące czytania gazet i dzienników, są trafne.

Książka ta rzeczywiście niemałej wartości pedagogicznej może oddać wielkie usługi i katechecie, zwłaszcza o ileby chciał w egzortach ten ważny temat poruszyć. Wydanie podobnego dziełka w polskim języku dla naszej młodzieży — z uwzględnieniem naszych specyficznie warunków, byłoby bardzo na czasie, żeby raz już wytrącić młodym ludziom z ręki rozmaite mniej lub więcej religię i pracę duchową pisarzy katolickich ignorujące, jeżeli już nie usposobione dla niej wprost wrogo „Przewodniki dla samouków".

Cs.

Dr. Michael Gatterer S. J. **Katechetik**. Herausgegeben von Dr. Franz Krus S. J. Zweite, verbesserte Auflage.

Innsbruck. Rauch 1911. Stron 389 w 8-ce. Cena 4 kor. Opr. w płótno 5 kor.

Po raz pierwszy wydał X. Krus tę książkę w r. 1909 jako manuskrypt. Przyznano jej powszechnie wartość niepospolitą i w krótkim stosunkowo czasie okazało się potrzebnem nowe jej wydanie, w którem nie ma zmian istotnych. Rozdział o „wychowaniu do czystości" można było opuścić, bo wyszedł tymczasem osobno p. n. „Die Erziehung zur Keuschheit" von Dr. Michael Gatterer S. J. und Dr. Franz Krus S. J. (3-te Aufl. Insbruck Rauch 80 hal.). Ze strony bardzo poważnej wyrażono życzenie, żeby zaniechano przyjętego od dawna podziału katechetyki na rzecz o nauczaniu i o wychowaniu. Jednakowoż wydawca wolał zatrzymać ten podział i tylko jeszcze większy, niż w wydaniu pierwszem, nacisk położyć w całej osnowie książki na tę wielką prawdę, że głównem i najwyższem zadaniem katechety jest praca nad w y c h o w a n i e m młodzieży.

Część I zawiera krótki zarys historyi katechezy i katechetyki, część II traktuje o nauczaniu katechetycznem, część III o wychowaniu katechetycznem, — część IV o katechetyce specyalnej.

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły, wyrażamy więc tylko życzenie, żeby i nasi XX. katecheci zapoznali się z tem cennem dziełem, które odznacza się wykładem gruntownym i systematycznym i gorącem umiłowaniem dziatwy. Byłoby to tem bardziej pożądane, że nasze piśmiennictwo nie posiada jeszcze niestety dobrej katechetyki. *A.*

F r a n z K r u s S. J. **Grundstock einer katechetischen Bibliothek.** Innsbruck, Rauch. 1912. Stron 91 w dużej 8-ce. Cena 1·40 kor. Opr. 2·20 kor.

Jest to p i e r w s z a o s o b n a p u b l i k a c y a, zawierająca spis literatury katechetycznej z rejestrem autorów i rzeczy. Na pierwszem miejscu są wymienione jako „najpotrzebniejsze środki pomocnicze": encyklika Piusa X. o nauczaniu religii „Acerbo nimis", „Katechizm Rzymski", listy pasterskie i rozporządzenia biskupów. Na drugiem miejscu dzieła, przyczyniające się do umiłowania pracy katechetycznej, na trzeciem zapoznające z historyą katechezy itd. Autor uwzględnia przeważnie tylko literaturę niemiecką, czemu nie można się dziwić Niemcowi, piszącemu dla swoich rodaków, ale i tym przydałyby się bardzo wiadomości o dobrych dziełach francuskich, włoskich, hiszpańskich i t. d. — Wszakże niejeden zna główne języki europejskie i nie chce korzystać wyłącznie z piśmiennictwa niemieckiego, które w pewnych dziedzinach jest jeszcze bardzo ubogie a zwłaszcza w dziale e g z o r t. Tu autor wymienia tylko „Przemówienia do przystępujących do 1-ej Komunii św." Sickinger'a, Grothe'go, Fuhlrott'a,

i Nagel—Nist'a i egzorty Waschitzy, Osen'a i Mark'a (str. 76 do 77). Z tego zresztą, co autor pisze tu o egzortach, pokazuje się jasno, że dział ten piśmiennictwa nie ma w jego oczach wielkiego znaczenia.

Z pisarzy polskich wymienia tylko jednego X. Gadowskiego a raczej przytacza tylko tytuł jego artykułu, zamieszczonego w „Grundfragen der Katechetik“ p. n. „Stand des elementaren Religionsunterrichtes im polnischen Sprachgebiete Galiziens“ (str. 24). Na str. 52 wypowiada autor zdanie, że dobre komentarze do katechizmu większą mają wartość niż gotowe katechezy — na co nie możemy się zgodzić. Wogóle jednak uważamy tę jego pracę za bardzo cenną i pożyteczną. *X. P.*

Nominacye i wiadomości osobiste.

Zamianowani: rektorem semin. duchownego we Lwowie X. Infułat i Kustosz kapit. katedr. Dr. Zygmunt Lenkiewicz; X. Dr. Julian Gołąb (który dotąd zastępował prof. hist. kośc. w uniw. Jagiel.) zastępcą kat. w sem. naucz. męskiem w Krakowie; X. Józef Bujar Congr. Sal. katechetą szk. lud. w Oświęcimiu; katechetą szkoły wydz. żeń. im. św. Jadwigi w Przemyślu X. Jan Bazylski, dotychczasowy katecheta szk. wydz. żeń. im. ces. Franciszka Józefa I. w Przemyślu; katechetą szkoły 4 kl. mieszanej im. A. Mickiewicza w Przemyślu na Błoniu X. Adam Leja, dotychcz. katecheta szkoły 4 kl. w Żołyni; zastępcami kat. w II. szk. realnej we Lwowie: X. Marcin Kalata (r. arm.) i X. Stanisław Sadowski; X. Eugeniusz Moncibowicz (r. gr.), zastępca kat. w gimn. akadem. we Lwowie, katechetą w filii tegoż gimn. we Lwowie.

Stopień doktora teol. uzyskał w uniw. lwowskim X. Jan Pasek, kat. gimn. w Jaśle.

Urlop do końca półrocza otrzymał X. Józef Jurkiewicz, zast. kat. w II. szk. real. we Lwowie.